WIEŚ TWORZĄCA
Nr 5(98)/2019 * ROK XVII
Dodatek Literacki do „Powiatu Słupskiego”

Olga Tokarczuk laureatką Literackiej Nagrody Nobla za 2018 rok

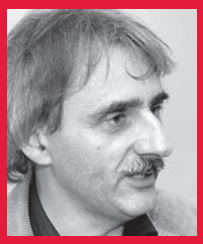

Ta wiadomość pojawiła się 10 października i obiegła zaraz wszystkie media. Szwedzka Akademia ogłosiła, że polska pisarka Olga Tokarczuk otrzymała Nobla za „narracyjną wyobraźnię, która z encyklopedyczną pasją ujawnia przekraczanie granic jako formę życia”

Fot. Fryta 73 / wikipedia.org

Jak skomentowała Polityka: „Komitet Noblowski docenił polską pisarkę za ogląd spraw lokalnych, ale i umiejętność spojrzenia na rzeczywistość z szerszej perspektywy, „z lotu ptaka”. Za połączenie sprytu i dowcipu.” Drugiego Nobla (za 2019 r.) w dziedzinie literatury przyznano austriackiemu pisarzowi i tłumaczowi Peterowi Handkemu - za „pracę, która z lingwistycznym geniuszem eksploruje peryferie i specyfikę ludzkiego doświadczenia”.

Werdykt szwedzkiej Akademii Noblowskiej okazał się zaskoczeniem, choć o noblowskich szansach Olgi Tokarczuk mówiło się już po tym jak została laureatką prestiżowej nagrody International Man Booker Prize za powieść „Bieguni” („Flights”) w przekładzie Jennifer Croft. W tym roku miała podobno szansę na kolejnego międzynarodowego Bookera. Nie dostała, ale samo umieszczenie polskiej pisarki w gronie tegorocznych kandydatów było już ogromnym wyróżnieniem. Bo konkurencja była wyjątkowo mocna. Urodzona w 1962 roku pisarka wcześniej zebrała też w Polsce najważniejsze nagrody literackie. Jest laureatką „Paszportu” Polityki za „Prawiek i inne czasy” i dwukrotną laureatką Nagrody Literackiej „Nike” za „Biegunów” w 2008 roku i „Księgi Jakubowe” w 2015 roku. Należy do grona najczęściej tłumaczonych polskich pisarzy. Prawa do tłumaczenia jej książek zostały sprzedane już do ponad dwudziestu krajów.

„Równoległe światy „opowiadane” przez postacie historyczne w roli kolejnych narratorów zostały powiązane czasem i szeroko rozumianym miejscem akcji, ale przede wszystkim interesami, intrygami i religią, a właściwie jej włączeniem w bieżące wydarzenia, z konwersją włącznie; są od siebie zależne, wzajemnie się motywują, by mogło się dopełnić „wielkie dzieło”, historia nadziei i upadku, o którym w istocie opowiada powieść Olgi Tokarczuk - pisała w styczniowo-lutowym numerze Wsi z 2015 roku Czesława Długoszek o „Księgach Jakubowych”. I dalej: „Wśród plątaniny imion, nazwisk, rodzinnych koligacji, prawdziwie weselnego rejwachu, wyłaniają się wątki zasadnicze: historyczne i fikcyjne, w tym wątek Jenty, zaskakujący, czasem humorystyczny, innym razem zadziwiający fantastyką magiczno - religijną. Jenta, która nie żyje, ale też nie umarła, opowiada, komentuje, obserwuje. Łączy światy - duchowy i realny, żywych i umarłych, historyczny i

zmyślony, dawny i współczesny; świat quasi-historycznej powieści z sentencją wypowiedzianą przez Drużbacką: „może ta cała sztuka pisania jest doskonałością form nieprecyzyjnych".

„Księgi Jakubowe" są opowieścią o Jakubie Franku i frankistach, o ruchu religijnym oraz społecznym, historycznym, ekonomicznym tle zdarzeń, które znalazły odbicie w historii i kulturze, niemal do wieku XIX. (...) Olga Tokarczuk buduje powieść na historycznym autentycznym schemacie fabularnym, który „dopełnia metodą koniektury, z wielu rozmaitych ksiąg czerpie, a także wspomaga imaginacją. (...) Rozmaite perypetie samego Franka, jak i jego wyznawców, dramatyczne i tragiczne, podniosłe i podłe, prowadzą do największej w dziejach konwersji z judaizmu na katolicyzm. (...) Pieczołowitość autorki w prowadzeniu wątków zgodnie z historycznymi zapisami jest zaletą książki. Wielowątkową fabułę włączającą w świat fikcji zdarzenia i postacie historyczne oraz wielość sposobów narracji łączy konsekwentna klasyczna zasada kompozycyjna. Każdy wątek znajduje rozwiązanie, dzięki temu świat powieści staje się spójny. (...) Teraz, kiedy znam fabułę, jej związki z historią, dla rozrywki smakuję niuanse języka, poszukując aluzji, ironii, naśladownictwa stylu epoki."

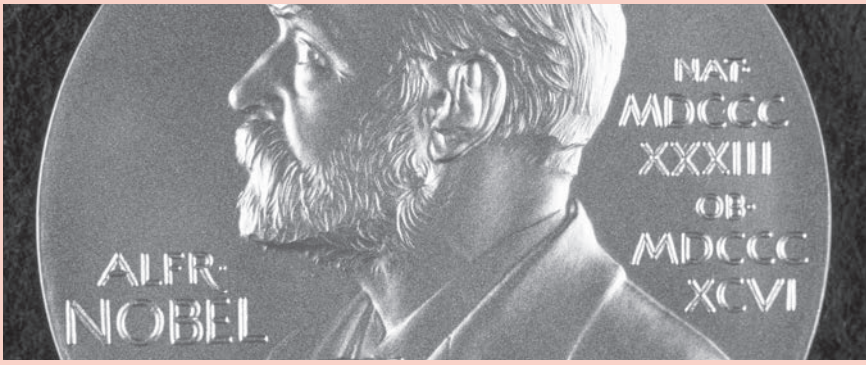

W tym roku literacki Nobel jest podwójny, bo w roku ubiegłym, w związku ze skandalem seksualnym w szeregach Akademii i ujawnieniem przecieków dotyczących nagród, zdecydowano się nie przyznawać nagrody w dziedzinie literatury. Akademię krytykowano też za to, że przyznaje nagrody głównie mężczyznom z Europy. Polka Olga Tokarczuk jest piętnastą kobietą, która odebrała tę nagrodę. Jej konkurentkami były Kanadyjki Margaret Atwood - autorka słynnej „Opowieści podręcznej" oraz poetka Anne Carson. Media podkreślają, że mówiło się również o dużych szansach piszącej po francusku Maryse Condé z Karaibów - laureatki alternatywnego Nobla sprzed roku. Wysoko w notowaniach była również Chinka ukrywająca się pod pseudonimem Can Xue, oraz Japończyk Haruki Murakami i Węgier László Krasznahorkai. Na liście kandydatów był także polski poeta Adam Zagajewski.

Olga Tokarczuk jest piątą polską literacką noblistką. Nagroda Nobla w dziedzinie literatury przyznawana jest od 1901 roku, w 1905 otrzymał ją pierwszy z Polaków - Henryk Sienkiewicz za tłumaczoną na wiele języków powieść „Quo vadis" z 1896 roku, dzięki której zyskał rangę pisarza europejskiego. (Rozczarowana decyzją Szwedzkiej Akademii była wówczas Eliza Orzeszkowa, która liczyła na Nobla dla siebie.) Dwadzieścia lat po Sienkiewiczu literacką Nagrodę Nobla otrzymał Władysław Reymont za „Chłopów". (W tym samym roku rozpatrywana była również kandydatura innego polskiego pisarza - Stefana Żeromskiego.) Kolejnego literackiego Nobla otrzymał w 1980 roku przebywający na emigracji w USA poeta Czesław Miłosz za „bezkompromisową wnikliwość w ujawnianiu zagrożenia człowieka w świecie pełnym gwałtownych konfliktów", a w 1996 roku noblistką została polska poetka Wisława Szymborska - za „poezję, która z ironiczną precyzją pozwala historycznemu i biologicznemu kontekstowi ukazać się we fragmentach ludzkiej rzeczywistości".

Z. Babiarz-Zych, Słupsk

Mam dużo do napisania

Rozmowa z Mateuszem Markiem Wolffem - autorem debiutanckiego tomiku wierszy „Romantyczność"

Fot. Wojewódzka Biblioteka Pedagogiczna w Słupsku

- Jak to się zaczęło w pana przypadku, mam na myśli pisanie wierszy?

- Zakochałem się w przyjaciółce, miałem 17 lat, napisałem dla niej wiersz. Potem męczyły mnie sentencje, zapisywałem każdą. Czułem, że jest w nich mądrość, to mnie ukształtowało.

- Co daje panu pisanie, z czym się wiąże? Czy jest to jakiś wewnętrzny przymus czy raczej po prostu rodzaj hobby, zwykła przyjemność?

- Od zawsze to była wyższa potrzeba. Budowanie wierszy uzależniało mnie stopniowo coraz bardziej, ze względu na profity dla mózgu. Osiągałem bardzo dużo w moim umyśle, przez jedenaście lat pisania i wiem, że po to żyję.

- Pochodzi pan z małej pomorskiej wioski Gardna Mała. Co daje panu bliskość przyrody, jeziora i zarazem morskiego brzegu? A może - przeciwnie - woli pan życie wielkiego miasta? Czy ma to również wpływ na pana twórczość?

- Tam się urodziłem, nie w szpitalu, w sensie spirytualnym. Każdy zachód słońca nad jeziorem Gardno - jestem tam. Jestem tam z każdej strony i przemierzam Słowiński Park Narodowy. Pompuję krew przodków, mijając kości w trawie, idąc gąszczem drzew wilgotnym i przysłaniającym dal niczym mgła. Z pozoru zasłona, a tak naprawdę klucz do otwierającego się nagle za szczytem zjeżonej piachem i korzeniami ruchomej wydmy Morza Bałtyckiego, gdzie się duch rozpływa w duchu horyzontu. Tylko tam jest powietrze. Pełno wydm, są jak fale, jak wszechświat, jak mózg człowieka wypchany neuronami. Z każdą chwilą rodzi się z natury każdy wymiar inaczej. Gardna to idealne miejsce dla narodzin poety. Chyba czuć w tej odpowiedzi, że jest to szczególne miejsce i okolica. Nie mam nic do życia w wielkim, czy małym mieście. Tam rodzą się historie, patrzy się ludziom w oczy. Poznaje się kogoś w szkole tańca albo wszędzie, gromadzi w kawiarniach, zostawia siebie innym. Innym wędrowcem, karmionym życiem jezior, rzek, lasów i mórz, od dziecka. Tak, ach tak, z małej wsi Gardna Mała, na Pomorzu.

- Często podkreśla pan w rozmowach, że wiele zawdzięcza kung-fu. Zaznacza, że nie chodzi tylko o sam

trening fizyczny, ale o związaną z tym filozofię. Czy mógłby pan opowiedzieć o tym więcej. Czy kung-fu ma również wpływ na pana twórczość?

- Nie ma takiego pola, na które nie ma wpływu kung-fu. Umysł, siłą rzeczy, jest ucieleśniony. Więc każdy trening działa w dwie strony. W tej drugiej moje ciało jest bardzo wdzięczne. Kiedyś postanowiłem zgłębić wiedzę z zakresu mechaniki kwantowej, a potem łączyć ją z kung-fu. Co się okazało? To już było połączone. Szkoła Shaolin Luohan to ponad dwa tysiące lat czystej wiedzy, przodków bardziej złączonych z naturą niż człowiek współczesny.

- Gdyby mógł pan wskazać książki, które pana ukształtowały, wywarły ogromny wpływ, to jakie pan by wymienił?

- „Neuronauka o podstawach człowieczeństwa. O czym mówi mózg" V.S. Ramachandrana,", „Król Duch" Juliusza Słowackiego, „Giaur" Lorda Byrona, „Tao Te Ching" Lao Tzu. Wymieniłbym też swoją książkę, którą napisałem wierszem mając 19 laty, nigdy niepublikowaną.

- A pana ulubieni poeci to... i dlaczego oni?

To Krzysztof Kamil Baczyński, bo wypracował poziom najtrudniejszy do osiągnięcia. Poziom, który pokazał tylko w dwóch wierszach: „Legenda" oraz „Magia". Może dlatego, że żył krótko lub dlatego, że wyznawał różnorodność. Zostawił wyzwanie, żeby ten poziom przejść. To także Słowacki za mistycyzm, Byron za wiedzę, Keats za zasady uwielbienia natury rzeczy, życia i śmierci.

- Rok temu Wydawnictwo Sowello z Rzeszowa wydało pana debiutancki tom wierszy. Co spowodowało, że przestał pan pisać w pewnym momencie do tzw. szuflady i dojrzał do wydania pierwszego tomiku? Dodajmy, że tak naprawdę wcale nie jest to mały tomik wierszy, tylko pokaźny zbiór twórczości z wielu lat - ponad sto stron czystej poezji.

- Czułem, że potrzebuję tego, że zamknę pewien rozdział życia i twórczości. Z biegiem czasu coraz bardziej widzę efekty tego wydawnictwa. Mija w sumie dziesięć lat od mojego debiutu we „Wsi Tworzącej", potem kilka antologii, ale na pewno miałem w głowie już wiele lat temu własną książkę. Przyszedł na to czas, zebrałem różne teksty, na różnym poziomie. Prócz okładki i korekty do druku, wszystko układałem sam przez około rok. Teraz, kiedy odhaczyłem wydanie pierwszego tomu, nazwijmy go zbiorczym, mogę z nową kartą, a nawet kartką wydać kolejny lepszy. O to w tym chodzi, przynajmniej mi. Każdy ma indywidualne podejście.

- Nazwał go pan „Romantyczność". Dlaczego właśnie taki tytuł?

- Tam nie ma przypadku, są różne smaczki pozostawione dedukcji posiadaczom. Tytuł to hołd dla epoki moich nauczycieli, dla epoki, nie tylko dla nich. Poza tym romantyczność trzeba reklamować, trzeba reklamować piękno. Piękno to szczęście. Romantyczność to także szczególne zwyrodnienie i czuję, że najbardziej cieszyć się możemy nim my, ludzie.

- Pisząc swoje utwory, sięga pan często po kunsztowne formy poetyckie, które wydawać się dziś mogą anachronicznymi z punktu widzenia współczesnego odbiorcy literatury Anno Domini 2019: sonet, trzynasto-, czternastozgłoskowiec lub nawet poemat czy manifest poetycki. Co skłania do sięgania właśnie po te formy?

- Po pierwsze: to, że nie są łatwe, a jak już wspomniałem, lubię się rozwijać. Chcę napisać dobrą książkę wierszem, bynajmniej nie w stylu przedszkolnej rymowanki, raczej w stylu mistrzów. Każdy, kto uważa, że to łatwe, powinien spróbować. Rym i rytm sprawiają, że wiersze bardziej piszą się same przez dostęp do słów z różnych bibliotek wirtualnych. Tzn. kiedy bierzesz koncept i pracujesz nad nim, to twoja siłownia, twoja forma kung-fu. Następnie jest po prostu zabawa, a na końcu satysfakcja lub niedosyt, obie kocham równie mocno. Z reguły nie mam planu, nie obstawiam, jaka będzie forma, wszystko się dopasowuje, samo się układa. Jest w tym wielka siła i wolność. Punkt widzenia odbiorcy? Hmm...

- Z drugiej strony ma pan za sobą również przygodę z hiphopowym freestylem...?

- Nagrałem kilkadziesiąt freestyle'owych utworów. Oczywiście, jakość pozostawia wiele do życzenia, ale chodziło o pokazanie, jakie to łatwe i jak można się tym bawić.

- Pisanie to dla pana codzienny rytm rytualnej czynności czy odświętne działanie, osobne, poza codziennym życiem?

- Gdybym mógł tylko pisać, to przede wszystkim pisałbym, bo mam dużo do napisania. Żyję po to i dlatego. Teraz, kiedy pracuję, produkuję pieniądze dla bogatych, mam mało czasu dla pisania, a jak mam czas, to jestem zmęczony fizyczną pracą. Więc pisanie dla mnie jest powołaniem i przeznaczeniem, a codzienność zapętlonym rytuałem.

Fot. J. Maziejuk

- Obecnie przebywa pan w Holandii. Czy zamierza pan tworzyć również w tym języku?

- Chciałbym, ale ja dużo bym chciał... Mam projekt tomu z poezją po angielsku nieskończony, więc jeśli już, gdy zakończę pracę nad tym, pomyślę. Poza tym kilka książek prozą i kolejny tomik, na który czeka historia literatury polskiej, nie wiedząc nawet, jak bardzo.

- Czy może pan zdradzić, jakie ma zamierzenia i plany dotyczące kolejnych przygód z literaturą? Co dalej, panie Mateuszu?

- Jeśli życie pozwoli, starczy zdrowia, by zarobić parę groszy - wydam kolejny tomik poezji, jest to ważny tomik, bardzo się staram, zależy mi na nim. Powieść SF/Fantasy do ukończenia. Nowela, na razie w kłębkach opowiadań. Tomik po angielsku i może próby z holenderskim.

Dużo projektów, a mało siły i czasu. Są koncepty, o których nawet nie wspomnę... Może zajmę się konkursami w przyszłym roku. Chciałbym pozdrowić wszystkich czytelników wszelkiej literatury oraz pisarzy i poetów, szczególnie przyjaciół z grup: „Wtorkowe Spotkania literackie" i „Pod metaforą".

Zanotowała: Magdalena Kubiak, Wicko

Andrzej Mencwel - „Toast na progu”

Niegdyś, gdy kończyło się biesiadowanie, słyszało się na odchodnym: „no to jeszcze strzemiennego”. Zbyszek, bohater opowieści Andrzeja Mencwela, „wyszedłszy na próg domu, stuknął się ze mną kieliszkiem i rzekł: U nas się mówi: progowy!”. U nas, czyli na wsi, a na pewno w tej wsi, w której autor „Toastu na progu” przyjaźnił się z jednym z ostatnich dawnych gospodarzy

Andrzej Mencwel urodził się w 1940 roku w Tarnobrzegu. Jego ojciec był krawcem, a matka gospodynią domową, pochodzenia chłopskiego. Jak sam autor mówi, „temu pokrewieństwu zawdzięczam żywe dotąd związki ze wsią i kulturą chłopską”. U babci Agnieszki, wspomina, pasał krowy, a u wuja Kazimierza prowadzał konia w kieracie. Zdobył wykształcenie, został profesorem literatury, mieszka w Warszawie, ale w pewnym momencie wraz z żoną kupił starą chałupę na wsi. Od czterdziestu lat ten dom na wsi jest jego drugim miejscem na ziemi. Wrósł w wiejską społeczność, a z niektórymi gospodarzami się zaprzyjaźnił. Wydana w 2017 roku książka „Toast na progu” poświęcona jest właśnie jednemu z przyjaciół, Zbyszkowi, zmarłemu przed kilku laty rolnikowi, dumnemu ze swych gospodarskich osiągnięć. Zbyszek był jednym z ostatnich spotkanych przez Andrzeja Mencwela, jak to ujął, prawdziwych chłopów, pełnych godności stanowej, przedstawicieli odchodzącej już w przeszłość dawnej klasy chłopskiej.

W czasach tradycyjnej wsi przy gospodarzu był zawsze koń, towarzysz pracy. Autor „Toastu na progu” kupił chałupę w czasach, gdy konie jeszcze były: „w naszej wsi było wówczas około czterdziestu gospodarstw rolnych różnej wielkości, a w każdym z nich trzymano przynajmniej jednego konia, zaś u gospodarzy zasobnych koni było zwykle dwa, latem z przychówkiem, czyli rączym źrebakiem”. Od początku lat siedemdziesiątych zaczęły pojawiać się ciągniki i początkowo współistniały z końmi. Traktory wykorzystywane były do ciężkich prac polowych, a konie? Jak Mencwel pisze, służyły głównie celom reprezentacyjnym: „pamiętam dobrze, że państwo Iwaniakowie, Szczepan i Maria, na niedzielną sumę jeździli wtedy specjalnie odmalowanym i umoszczonym wozem konnym, a przykościelne pole, obecny parking, pełne było takich odświętnie przybranych zaprzęgów”. W późniejszych latach koni było coraz mniej, aż właściwie zniknęły z krajobrazu wiejskiego. A dawniej, jak pisze Andrzej Mencwel, „w rolnictwie tradycyjnym koń był pierwszym chyba po gospodarzu, czyli poniekąd po Bogu, stworzeniem domowym, bo bez niego w gospodarstwie niczego właściwie nie można było zrobić: koniem się orało, bronowało, redliło, nawoziło, zwoziło z łąk i pól, żniwowało i młóciło, nie mówiąc już o posługach specjalnych, jak ściąganie drzewa czy jazda na targ, lub odświętnych, czyli kościelnych: chrzcie, komunii, ślubie, pogrzebie”. Ta epoka jednak się skończyła, „na oczach wszystkich i w mojej tutaj przytomności”.

Koń zajmował wśród zwierząt gospodarskich miejsce szczególne: „nigdy nie widziałem dawniej, żeby psa przy budzie ktoś czesał, koń natomiast był zgrzebłem wyczesywany, z grzywy i ogona wyplatano mu warkoczyki, starannie zmieniano ściółkę, wypuszczano pod wieczór ze stajni, żeby sobie pobrykał, gospodarz dbał o jego smakołyki i prezenty. Choroba czy złamana noga konia były rodzinną tragedią, a myśli o tym, że ma iść na rzeź, nikt nie dopuszczał”. O konia dbano, ale los psa wiejskiego był godny pożałowania: „wiedza dawnego wiejskiego kundla, będącego psem łańcuchowym, była dość prosta, ponieważ miał on do czynienia z sytuacjami prostymi - powinien być zły i głośno ujadać, a kiedy należało - rzucać się na obcego. Żeby był zły, głodzono go i bijano, dlatego poza swoim podwórzem uciekał przed każdym, kogo kojarzył z kijem lub kamieniem, i szukał żeru, gdzie się dało”. Jednak pies jednego z bohaterów „Toastu na progu”, dziadka Gawrona, miał inne, lepsze życie. Kruczek też był wiejskim kundlem, ale jego pan nie wiązał go przy budzie, dużo z nim, chodząc, rozmawiał, a że wrota były cały czas otwarte, pies biegał swobodnie całymi dniami. Tak więc Kruczek miał niezwykłe, jak na psa wiejskiego, życie, a miał je, bo dziadek Gawron był niezwykłym człowiekiem.

Niewysoki, silny, Dziadek Gawron miał w sobie coś elektryzującego. Był samowystarczalnym rolnikiem, a oprócz tego też uznanym kowalem. W jego warsztacie z węglarskim paleniskiem i miechem z byczej skóry na poczesnym miejscu stało kowadło, które miało „jak należy, dwa śparogi, ostry i kwadratowy, a wykuwał na nim nie tylko podkowy i hacele, ale również winkle okienne i zawiasy figurowe”. Ściągali do niego sąsiedzi z jednej i drugiej wsi, a także z okolicznych przysiółków. Podkuwano konie, ale potrzebne były też zawsze jakieś naprawy przy żelaznych pługach konnych ze stalowym lemieszem i żelaznych bronach z zębami przykutymi do poziomej kratownicy. A kowal Gawron „lemiesze odkuwał tak ostre, że caliznę, żwirowatą tutaj i kamienistą, kroiły jak noże masło i do dziś wdzięcznie wspominają je ci, którzy dziadka pamiętają i rolę uprawiali tymi pługami”. Andrzej Mencwel też zachował dziadka Gawrona w swoich wspomnieniach i stworzył mu w swojej książce piękny wizerunek. Poznali się od razu po przybyciu autora „Toastu na progu” do wsi. Była wiosna, Mencwel rąbał na podwórku drwa, żeby rozpalić pod kuchnią. Nie szło mu to dobrze. W pewnej chwili, jak pisze, „nagle, jak spod ziemi, pojawił się przede mną dziwotwór z rozwianą, pod kaszkietem, siwą czupryną i równie siwymi, sumiastymi wąsami, których pękate końce zwisały mu do ramion, od góry ubrany pół miejsko, w koszulę z kołnierzykiem i zapinaną na guziki kamizelkę, od dołu pół wiejsko, w cajgowe portki wpuszczone w kamasze. Jak samorzutnie się znalazł, tak swobodnie wyjął mi stylisko z rąk, machnął nim błyskawicznie, zanim zdołałem pojąć, co się dzieje, i z widoczną lekkością, jednym celnym cięciem, rozciął ten konar, od którego parokrotnie się odbiłem. A potem rzekł: - Uderzaj skosem sąsiedzie, nie na prostkę, to ci nie odbije!”.

Fot. M. Kubik / wikipedia.org

PISZĄ O WSI

Chałupa, którą kupił Andrzej Mencwel, sąsiadowała z domem dziadka Gawrona, ale było to sąsiedztwo osobliwe, bo dzieliła je dróżka wiodąca przez las. Te dwie chałupy wraz z dwoma innymi domostwami, stanowiły tak zwaną kolonię: „położone były prawie kilometr od dość gęstej zabudowy wiejskiej ulicy, będącej obecnie szosą przejezdną, na skraju pól i obrzeżach lasu, z widokiem na łąki, wieś i żwirowe wzgórza za wsią". Domostwa były od siebie, jak Mencwela i Gawrona, oddalone, i „zanim się do kogoś zajrzało, trzeba było przejść paręset metrów drogą lub miedzą, przybliżenie zaś wywoływało ostrzegawcze szczekanie psów, gdakanie kur i syk gąsiorów". Przy dziadku Gawronie zawsze kręcił się Kruczek, zaś rodzina Mencwel dopiero latem wzięła szczeniaka, kundelka. Pucek, także swobodnie buszujący po obejściu, dopełnił obrazu wiejskiego domostwa. A chałupa, kupiona przed czterdziestu laty przez Andrzeja Mencwela, była stara, drewniana, dwuizbowa, z załamująca się obórką, małym sadem owocowym i ogródkiem warzywnym. Chałupka była co prawda, „odnowiona i przysposobiona, strzecha była świeża i ścisła, wnętrze odmalowane i wyposażone w proste, zbite z desek i palików, sprzęty, stolik pod miskę do dziś stoi przy studni, prycze dały materiał do odbudowy szlabanków, reszta się wykru-

szyła". Jak wspomina dalej autor „Toastu na progu", brakowało chałupie ganku i okiennic, „w pogodne wieczory siadywaliśmy na progu, czyli na przyzbie, co nas ujmowało dosłownością, ale kiedy wyjeżdżaliśmy do miasta, trzeba było okna zabezpieczać starymi dechami". Dużo czasu i wysiłku zajęło doprowadzenie tego domu do odpowiedniego stanu, a nie był to koniec prac, bo przecież w domostwie i obejściu ciągle trzeba coś naprawiać. Mencwel z doświadczenia więc mógł stwierdzić, że „życie w tak zwanym przez miastowych otoczeniu przyrody nie przypomina żadnej sielanki i nie jest też rozkosznym wytchnieniem. Przeciwnie - wymaga nieustannego opierania się dzikiej sile tej przyrody i przeciwdziałania niszczycielskiemu naporowi butwienia, grzybienia, robaczywienia, próchnienia, gnicia, rozkładu i rozpadu". Tak było też ze studnią. Na podwórzu przy chałupie znajdowała się studnia. Jak z dumą podkreśla autor, była to studnia „prawdziwa, cembrowana, z drewnianym, zdobnym daszkiem, korbowodem do wyciągania wiader. Nasza woda była zimna, źródlana, o jedynym rześkim smaku, którą piliśmy haustami jak wodę życia. Herbatę z niej parzyliśmy najlepszą na świecie, zupy Ania gotowała niezrównane". Pewnego dnia studnia się zapadła. Przywołany na pomoc sąsiad Czesio „spojrzał w dół, głowiną łysawą pokręcił i orzekł bez wahania: Cza jom zasypać i wykopać nowom!".

Pomoc sąsiedzka była jedną z podstaw życia na wsi. Czy to w przeróżnych naprawach, czy w pracach polowych, a też w innych przypadkach, zawsze można było się zwrócić do sąsiada, bliższego czy dalszego, o przysługę. Współpraca, ale też i wspólna praca na wsi była czymś naturalnym. Doświadczył tego i sam autor, podczas pierwszego lata spędzonego w chałupie. Niedaleko domostwa państwa Mencwel położone było pole sąsiadów, widoczne z progu. Pewnego letniego poranka zaczęły się żniwa: „para koni szła zgodnym rytmem, Zbyszek je biegle prowadził, Czesiek przy maszynie dzielił tyczką pokosy, kobiety zaś zbierki podejmowały i powrósłami wiązały w snopki". Przybyli z miasta mieszkańcy chałupy patrzyli, jak sąsiedzi uwijają się przy żniwach. Nie patrzyli jednak długo; jak wspomina Mencwel, „okazało się bowiem, że gdy w naszym bezpośrednim sąsiedztwie ludzie zaczynają żniwować, to my nie możemy spokojnie ich kontemplować, pijąc na przyzbie swoją kawkę, ale zaczynamy się krztusić, wiercić na zadkach, łypać na siebie wzajemnie i wreszcie, bez słowa, lecz jednozgodnie, za próg wyskakujemy i na wyprzódki biegniemy w pole, aby do żniwiarzy dołączyć. Oni zaś witają nas przychylnie, bez uniesień jednak i honorów, rzeczowo natomiast i funkcyjnie, od razu z przydziałem - kto tu, kto tam, po co i na co. Ponieważ dla nich wszystkich było oczywiste, co nam dwojgu wydało się odkrywcze, że jak żniwa idą, to nikt nie powinien stać w miejscu". Jak dodaje autor „Toastu na progu", to było niemożliwe siedzieć i patrzeć, gdy obok chleb zbierają.

Tak było niegdyś. Teraz, jak mówi dalej Andrzej Mencwel, „w wysokiej wieżyczce kombajnu siedzi specjalista mechanik, z ziemi praktycznie niewidoczny. Nie ma do kogo dołączyć". Nie ma też już do kogo na wsi zajść bez zapowiedzi, jak dawniej, bo zostały właściwie, jak pisze autor, trzy czy cztery prawdziwie znajome osoby. Młodsi mieszkańcy wsi pracują przeważnie w mieście, „śmigają samochodami albo ścigają się motocyklami i żaden z nich nie siada już na ławeczce przed swoją dziedziną, aby na świat z wolna popatrzeć i z człowiekiem niespiesznie pogwarzyć". A było z kim pogwarzyć. Autor „Toastu na progu" przywołuje na kartach swojej książki nie tylko swojego przyjaciela Zbyszka, jego brata Cześka, dziadka Gawrona czy rodzinę Iwaniaków. Przez czterdzieści lat przebywania we wsi poznał też tak barwne postaci jak słabującą na nogi panią Różę, Paszka - specjalistę od studni czy też pana Rysia, wyjątkowo zręcznego w ciesielce. Andrzej Mencwel ocala pamięć o nich, a zarazem pamięć o całej, odchodzącej już w przeszłość klasie chłopskiej. Na pytanie, dla kogo ocala ten świat, odpowiada: „dla wszystkich, którzy są wrażliwi na to, co się wokół staje. Ale w pierwszym rzędzie dla tych, którzy mają podobną genealogię i którzy powinni uświadomić sobie koniec tamtego świata - ale też i jego gruntowne przekształcenie. Bo to nie znaczy, ze on umiera bezpotomnie. Chodzi o to, by się odrodził czy też odradzał w innej postaci, która nie będzie folklorystyczna. Zresztą sądzę, że on już się odradza. W różnych, rozproszonych, ale coraz wyraźniejszych zjawiskach artystycznych ostatnich lat. Wnoszę swój mały wkład do tego odrodzenia, żywię nadzieję, że ono rozkwitnie".

Jolanta Betkowska, Słupsk

W poprzednim numerze Wsi Tworzącej, podpisując tekst „Ignacy Karpowicz - „Sońka", błędnie podaliśmy imię jego autorki, p. Betkowskiej. Za niezmierzoną pomyłkę. przepraszamy Autorkę i Czytelników. (z)

Zmarł wybitny aktor Jan Kobuszewski

Jan Kobuszewski pozostanie w naszej pamięci niewątpliwie jako najwybitniejszy aktor komediowy. Mistrz nastroju, satyry i kabaretu, odtwórca anegdot, dowcipu i posiadacz szczególnego emploi

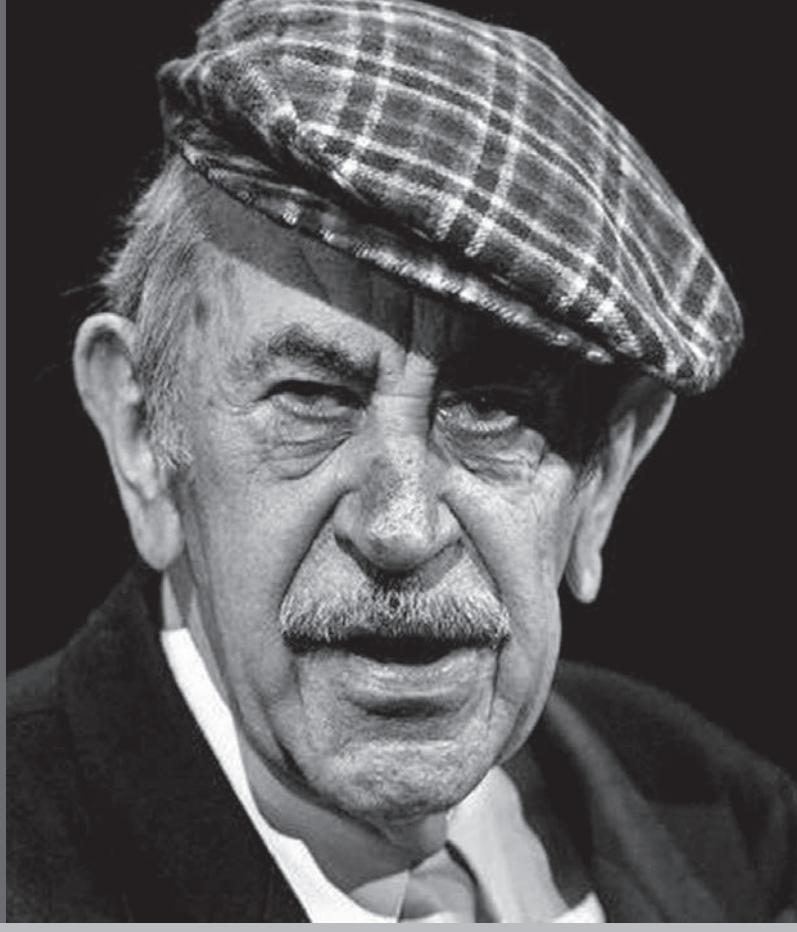

Był wszechstronnym aktorem, występował w tragikomediach i sztukach teatralnych oraz telewizyjnych, w filmach i programach rozrywkowych, a w szczególności we wszystkich najbardziej znanych kabaretach polskich. Wielką popularność zdobył przez swoje emploi, czyli role, w których się specjalizował. Wykorzystywał swoje predyspozycje fizyczne, wyjątkowy typ urody i wygląd. Miał długą i pociągłą twarz, rozbawione oczy, nienaganną prezencję, styl i siłę wyrazu.

Przybliżam tego wyjątkowego artystę, opłakiwanego teraz przez fanów i wielbicieli jego talentu oraz wszystkich ról scenicznych. Jan Kobuszewski zmarł bowiem 28 września br. Urodził się Warszawie w 1934 roku, na Nowym Bródnie. Był najmłodszym z trójki dzieci, miał dwie starsze siostry. Siostra Hanna jest matką aktora Wiktora Zborowskiego. Ukończył stołeczne Liceum im. Adama Mickiewicza i początkowo chciał zostać księdzem. W 1951 roku zdecydował się jednak zdawać egzamin do warszawskiej PWST, jednak bez powodzenia. W następnym roku powtórny egzamin zakończył się przyjęciem. W tzw. międzyczasie był już absolwentem Państwowej Szkoły Dramatycznej Teatru Lalek. Tak wspominał ten czas: „Za pierwszym razem po prostu się nie przygotowałem. Musiałem przygotować dwa wiersze, fragment prozy i scenkę rodzajową. A ja wziąłem sobie chyba najtrudniejsze fragmenty z literatury polskiej: rolę Papkina, którego zresztą potem grałem, wiersz Majakowskiego i „Stepy Akermańskie", a z prozy jakiś fragment Żeromskiego". W jednym z wywiadów tak skomentował swój egzamin: „To nie były rzeczy dla amatora".

Studia aktorskie ukończył w 1956 roku i zadebiutował rolą dyplomową Cara Domindonta w „Żołnierzu i biedzie" Samuiła Marszaka na scenie Teatru Młodej Warszawy. Na ekranie miał debiut w 1955 roku niewielką rolą w dramacie wojennym „Godziny nadziei" w reżyserii Jana Rybkowskiego. Następnie występował na deskach teatrów: Klasycznego (1957-1958), Polskiego (1958-1964 i 1969-1975), Wielkiego (1964-1969) oraz Nowego w Łodzi (1975-1976). Do wyróżnionych jego ról dramatycznych, które grywał w sztukach klasycznych, można zaliczyć: Biondello w „Poskromieniu złośnicy" Szekspira, Pietrowicza w „Płaszczu" Gogola, Papkina w „Zemście" Fredry, Oswalda w „Królu Lirze" Szekspira, Lokaja - Janza Parlichenko w „Kurce wodnej" i Doktora w „Dziadach" Mickiewicza.

W Teatrze Narodowym zagrał w spektaklach Kazimierza Dejmka, ówczesnego dyrektora narodowej sceny. Były to role: Mifistofelesa w „Kordianie" Słowackiego, Pelikana w „Dziadach" grał z Gustawem Holoubkiem odtwarzającym wówczas rolę Gustawa - Konrada. Zdobywał bardzo pochlebne recenzje. O jego kreacji Oberona ze „Snu nocy letniej" Szekspira prasa pisała, że „Kobuszewski grał z finezją i ironią", natomiast o roli Diabła z „Na szkle malowane" E. Brylla - „grał z rozmachem i fantazją".

W dramacie „Jan Maciej - Karol Wścieklica" Witkacego grał rolę tytułową w teatrze w reżyserii Wandy Szydłowskiej. O tej sztuce pisano: „Bohaterem spektaklu jest Jan Kobuszewski, znakomity w typie, ruchu, słowie. Łączył bezbłędnie realizm z groteską, był prawie Witosem, ale jednocześnie był czymś więcej, zagrał całą problematykę filozoficzną".

Jan Kobuszewski znany był z filmu i z seriali telewizyjnych. Występował w pierwszym polskim serialu „Barbara i Jan" w reżyserii Hieronima Przybyły i Jerzego Ziarnika.

Popularność przyniosła mu również rola w serialu Jerzego Gruzy - szefa hydraulików w „Wojnie domowej" (1966 rok), czy Jasia - bufetowego w klubie sportowym. Grał człowieka po przejściach - byłego lekkoatletę, który po pasamach sukcesów popadł w alkoholizm i zmarnował sobie karierę. Występował w 1974 roku w „Czterdziestolatku".

W czasopiśmie Film zamieszczono ciekawy komentarz: „Telewizyjny Kobuszewski to postać trochę z szalonej błazenady, trochę absurdalnego świata

POŻEGNANIA

Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego, a trochę bohater chaplinowski, zagubiony i pełen melancholii."

Stanisław Bareja obsadził go również w roli hydraulika w filmie „Poszukiwany, poszukiwana" z 1972 roku i listonosza w filmie „Nie ma róży bez ognia" (1974 r.), kierowcy MPO przewożącego śnieg w „Brunecie wieczorową porą" (1976 r.), kombinatora mieszkaniowego w „Alternatywach 4" (1983 r.) i złodzieja Ksywy w „Zmiennikach" (1986 r.).

Największą popularność zyskał Kobuszewski dzięki programom rozrywkowym i występach w najważniejszych polskich kabaretach: Dudek Edwarda Dziewońskiego, u Olgi Lipińskiej - jako „Pan Janek", w Kabarecie Starszych Panów. W Dudku zaprezentował jeden z najlepszych skeczów PRL-u - „Ucz się Jasiu, ucz", czyli „I wężykiem, Jasiu, wężykiem". Jeszcze inna nazwa tego skeczu to „lekcja teoretyczna dla praktykanta Jasia na temat rozmowa z klientem i notatki zapisywane przez Jasia w kajeciku z podkreśleniem najważniejszych uwag, tzn. wężykiem, Jasiu, wężykiem. W przedstawieniu o hydrauliku Jan Kobuszewski jest majstrem, Wiesław Gołas uczniem - praktykantem, a Wiesław Michnikowski - klientem. Cała Polska bawiła się tą parodią i trafnie uchwyconą sytuacją. Gdy po latach wznowiono tę inscenizację, przy udziale już innych aktorów, Jan Kobuszewski nadal grał rolę majstra - hydraulika.

Charakterystyczne role Jana Kobuszewskiego w kabarecie Dudek, to: monologi, „Książka życzeń", „Rozum", „Małpa", „Skarga" oraz piosenka kabaretowa „Bo ja nikogo nie potrafię kochać"... Niezapomniane są jego duety z wybitnymi aktorami: Kazimierzem Brusikiewiczem - w skeczu „Dług" i z Edwardem Dziewońskim - w skeczu „Artyści". Występował również w cyklicznych rozrywkowych programach telewizyjnych, m.in. w „Wielokropku" (1963 r.) wspólnie z Janem Kociniakiem. Tworzył niezapomniany duet aktorski o charakterystycznym wyglądzie: duży i chudy w konfrontacji z małym i korpulentnym. W latach 70-tych XX wieku był narratorem „Bajek dla dorosłych". Od 1976 roku aż do końca kariery scenicznej w 2013 związany był ze sceną komediową Teatru Kwadrat. Występował w sztukach teatralnych i grał w skeczach. W teatrze tym współpracował m.in. z Marcinem Sławińskim, u którego zagrał Ewooda Dowda w przedstawieniu „Mój przyjaciel Harvey" (1995 i 2006 r.) Mary Chase i Anioła Stróża w „Przyjaznych duszach" Pam Valentine (2008 r.). W „Złodzieju" Erica Chappela, w reżyserii Janusza Majewskiego w 2001 roku wcielił się w postać Spriggsa, a w 2006 powrócił do repertuaru klasycznego i wystąpił w roli Pantalona w „Słudze dwóch panów" Carla Goldoniego w inscenizacji Waldemara Matuszewskiego. Zapamiętano jego wspaniały występ w duecie z Andrzejem Kopiczyńskim w skeczu „Wydarzenia z nieboszczykiem". Występował również w inscenizacjach Zygmunta Hubnera i Adama Hanuszkiewicza.

Jan Kobuszewski pozostawił duży dorobek artystyczny. Zagrał 400 ról w 100 sztukach teatralnych, w 50 filmach i 2 tysiącach programów rozrywkowych. Był wybitnym aktorem, komikiem, reżyserem, wykonawcą skeczy i piosenek. Przeżył 85 lat. Był wielokrotnie honorowany odznaczeniami państwowymi i resortowymi, m.in. w 2012 roku Krzyżem Komandorskim z Gwiazdą Orderu.

Pogrzeb aktora odbył się 7 października na Starych Powązkach w Warszawie. Został pochowany w grobie rodzinnym. Żegnały go tłumy warszawiaków, przyjaciele i widzowie.

Włodzimierz Lipczyński
Słupsk

Fot. Arch. NAC

Fot. Halohalo9 / wikipedia.org

Fot. Arch. NAC

Chłopak z Kabaretu - Marian Hemar (1901 - 1972)

10 września 1939 roku Marian Hemar, wybitny przedwojenny autor piosenek, poeta, satyryk, dramatopisarz i scenarzysta filmowy zdecydował się wyjechać z Polski, m.in. naraziwszy się Niemcom za piosenkę „Ten wąsik, ach ten wąsik", parodiującą Hitlera

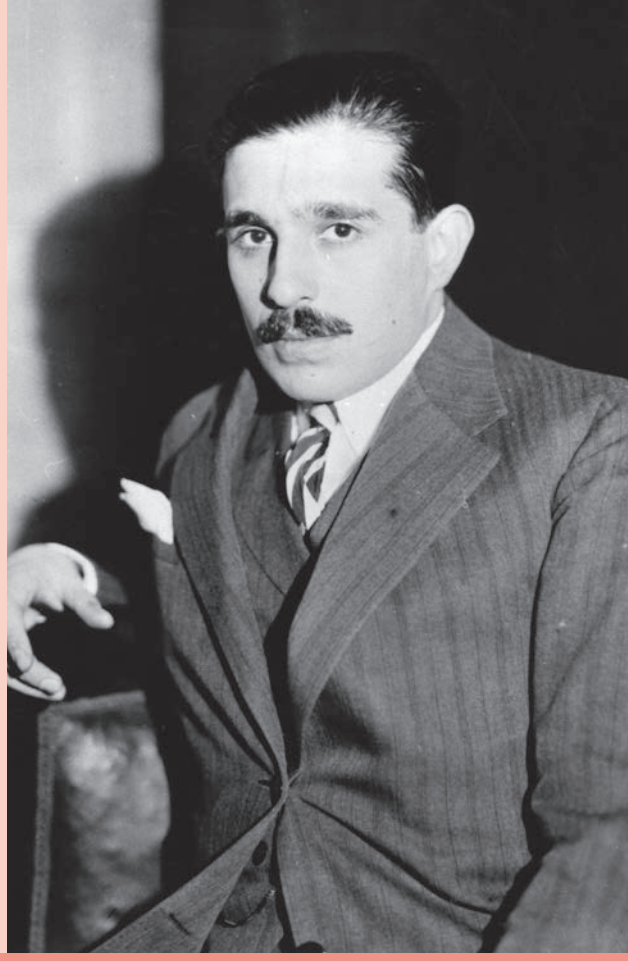

Granicę polskich Kresów przekroczył w Zaleszczykach, kierując się, jak tysiące jemu podobnych uchodźców, w stronę Rumunii. W wierszu „Liść", napisanym już z perspektywy emigracyjnej w 1956 roku, poeta wspominał to tragiczne wydarzenie w ten sposób:

Siedzieliśmy tej nocy,
Późnej nocy, w niedzielę,
W samochodzie, w pięcioro -
Dwaj moi przyjaciele,

Stefan Norblin i Kaźmierz
Wierzyński, i ich żony,
I ja. Noc była chmurna
I mrok nieprzenikniony.

Gdzieniegdzie tliły nikłe
Ogniki papierosów
W tłumie, co wkoło szemrał
Tysiącem spłoszonych głosów,

[...]
A o dach samochodu
Drobniutkimi kroplami
Deszcz szeleścił i szeptał
W drzewach, w liściach nad nami.

Ta cała scena była
Tak dziwnie, tak boleśnie
Nieprawdziwa, jak zmora
Która przeraża we śnie,

Lecz nie zdarza się w życiu
Normalnych trzeźwych ludzi.
[...]
Przetrę oczy - dzień w oknach -
Słońce - ach, straszna zmoro!
W dwuosobowym aucie
Stłoczyliśmy się w pięcioro,

Przerażeni ciemnością,
Nieruchomi i niemi,
W tę czarną noc wrześniową,
Ostatnią na polskiej ziemi,

O sto kroków od mostu
Na rumuńskiej granicy.
Tego dnia, rano, weszli
Do Polski bolszewicy.

[...]
Wyszedłem z wozu. Obok,
Tuż przy drodze, na lewo,
Zamajaczyło przede mną
Ciemne ogromne drzewo.

Zamajaczyło w mroku,
Zamajaczyło w tłumie,
Deszcz w nim szeptał, szeleścił,
Poznałem je po szumie.

Dotknąłem dłonią kory,
Mokra była u dłoni.
Chłonąłem woń zieleni,
Poznałem ją po woni.
[...]

I zerwałem znad głowy,
Dłońmi roztrzęsionemi,
Liść z ostatniego drzewa,
Co rosło na mojej ziemi.

Kiść ośmiolistną, jakby
Wyciętą z mokrej wstążki,
I zaniosłem do wozu
I włożyłem do książki,
[...]

Dziś, gdy piszę te słowa,
Rzewna to mi pociecha,
Otwieram dawną książkę
A w książce liść orzecha.

A w nim - deszcz cichy pada
I czarna noc podolska
I wiatr, i szum, i chmury,
I tłum, i żal, i Polska. [...]

(Marian Hemar, „Dom jest daleko. Polska wciąż jest blisko. Wybór wierszy i piosenek", Wybór i układ Andrzej Krzysztof Kunert, Wydawnictwo Świat Książki, Warszawa 2000, s. 131-136.)

Chłopak z kabaretu

Epoka międzywojnia to zarówno dla twórczości, jak i życia Mariana Hemara okres arkadii, którą miała przerwać brutalność wojny i późniejsza dozgonna emigracja poety. Urodzony we Lwowie, spokrewniony m.in. z późniejszym wybitnym pisarzem fantastyki naukowej, Stanisławem Lemem, był Marian Hemar od początku swojej artystycznej drogi jednym z najjaśniejszych przedstawicieli tzw. przedwojennego kabaretu literackiego, spod znaku legendarnego Qui Pro Quo oraz kolejnych warszawskich teatrzyków i rewii w rodzaju Cyrulika Warszawskiego, Bandy czy Ali-Baby, ale też najwybitniejszym i najczulszym piewcą ukochanego rodzinnego miasta - Lwowa.

Jednak niemal od początku swojej działalności artystycznej nosił w sobie kompleks kabareciarza, piewcy małej muzy, który chciałby udowodnić, że mierzy wyżej i że stać go na dzieła literackie i poetyckie znaczące więcej niż piosenka rewiowa czy kabaretowy skecz. Ten kompleks nosił w sobie do końca życia, ujawniając swoje ambicje artystyczne w wielu dziedzinach - od muzycznej, translatorskiej, teatralnej i poetyckiej aż po filmową, radiową i publicystyczną.

Skupmy się jednak na Hemarowej poezji. Ciągnęło go do Skamandrytów, co łatwo dostrzec zarówno w stylistyce i tematyce jego wierszy, jak i w ówczesnych kontaktach towarzyskich. Choć - nie tylko z racji wzrostu, ale przede wszystkim ze względu

PRZYPOMNIENIA

na jego kabaretową twórczość - nazywano go „małym Hemarem", w dwudziestoleciu międzywojennym był zaliczany do tzw. poetów - satelitów kręgu Skamandra i Wiadomości Literackich.

Z cienia rewii wychodzi poeta

Pierwszy tomik poetycki z 1936 roku, nie licząc wcześniejszych wydań Hemarowej satyry, zatytułowany „Koń Trojański", nigdy do końca nie został w pełni doceniony, choć przyjęty z sympatią, raczej jako poetycki wybryk zdolnego piosenkopisarza. Po latach Edward Dziewoński miał nazwać ten autorski zbiór poezji przedwojennej Hemara bodaj jedną z najciekawszych książek dwudziestolecia.

Jego przyjaźń z przedstawicielami tej grupy poetyckiej przerwała dopiero wojna i jej ideologiczno-polityczne konsekwencje. Gdy Tuwim i Słonimski wrócili po wojnie za żelazną kurtynę, stało się jasne, że z antykomunistycznymi poglądami emigranta politycznego z lwowskim rodowodem będzie im nie po drodze. Natomiast reszta Skamandrytów - Kazimierz Wierzyński i Jan Lechoń - mieli w Hemarze wiernego orędownika ich twórczości i wypróbowanego przyjaciela. Co wcale nie znaczy, że nie dworował sobie z przyjaciół w najlepsze choćby w londyńskich fraszkach:

To nasz najlepszy poeta, Emilko.
Nie mamy odeń lepszego poety.
Nie mówię, że on taki dobry. Tylko
Powiadam, że on najlepszy. Niestety.

(Marian Hemar, fraszka K. Wierzyński, [w:] http://ewairena.blogspot.com/2011/09/ostatnia-pocztowka-z-beskidow.html)

Fot. Arch. NAC

Ale przed wojną zwłaszcza z Tuwimem wydawali się nierozłączni - wszędzie ich było pełno w przedwojennej Warszawie. Stanowili trzon wszystkich liczących się wtedy kabaretów i teatrzyków. Po latach już z perspektywy emigranta przyznawał to przy okazji wspomnieniowego nekrologu słynnego warszawskiego konferansjera, Fryderyka Jarosy'ego: „Przez wiele lat, w dawnej Warszawie, byliśmy, Járosy, Tuwim i ja, najbliższymi współpracownikami w Qui Pro Quo, potem wspólnikami w sławnej Bandzie i mniej sławnej fuzji z Teatrem Polskim, partnerami w Cyruliku Warszawskim i tak dalej i tak dalej. Właściwie wszystko, co się działo w historii literackiego kabaretu owych lat, robiliśmy z nim [Járosym - przyp. M.K.] do spółki."

(Marian Hemar, Fryderyk, [w:] tegoż, Awantury w rodzinie, Wyd. Polska Fundacja Kulturalna, Londyn 1994, s. 148.)

Dotyczy to także osoby Tuwima, z którym urządzał sobie Hemar - kabareciarz swoiste konkursy na temat, gdy zwykłe pisanie piosenek zaczęło ich nudzić. W efekcie jednego z takich zakładów powstała piosenka „Paszoł won!": „Myśmy z Tuwimem - tu znowu oddajmy głos Hemarowi - emigrantowi - pisali tyle piosenek, że normalne teksty już nas nudziły. Dla własnej zabawy szukaliśmy wciąż dodatkowych trudności i sztuczek, czegoś, czego jeszcze nie było. Tuwim rzucił mi takie wyzwanie: napisać piosenkę miłosną, bardzo sentymentalną, w stylu romansów Wertyńskiego, ale z pewną szczególną puentą. Muszą być użyte dwa słowa raczej wulgarne. Wygrałem zakład. Napisałem taką właśnie piosenkę, którą w Qui Pro Quo śpiewała Mira Zimińska, a w Londynie Zofia Terné."

(Marian Hemar, „Za dawno, za dobrze się znamy... Piosenki i skecze". Do druku przygotowały Włada Majewska i Anna Mieszkowska, Wyd. Polska Fundacja Kulturalna, Londyn 1997, s. 171.)

Tu należy dodać, że Hemar - jako wykształcony muzycznie - często pisał nie tylko słowa piosenek, ale również był nierzadko także autorem muzyki, co stanowiło o osiągnięciu mistrzostwa w tym zawodzie.

Styl obaj panowie - poeci mieli podobny na tyle, że gdy cenzura PRL-u uznała osobę Hemara za wroga Polski Ludowej, to jego piosenki były grane i wykonywane na nowo albo pod pseudonimami, albo przypisywano ich autorstwo Tuwimowi właśnie. Skutek jest taki, że gdy wydano w latach 90. nieznane utwory Tuwima, kilka z nich opisanych w spisie treści jako przeznaczone do kabaretu, mają adnotację „Piosenka Mariana Hemara lub Juliana Tuwima" i dziś nie jesteśmy już w stanie określić z całą pewnością ich autorstwa.

Niebotyczne gaże Tuwima i Hemara za skecze i szlagierowe piosenki pozwalały na beztroskie życie bonwiwantów. Zwłaszcza Hemar - dość długo pozostając w bezżennym stanie - czerpał inspiracje do swych piosenek z kolejnych romansów. Mówiło się, że najpiękniejsze przedwojenne szlagiery, które wówczas śpiewała cała Polska, powstały pod wpływem jego sercowych przygód, romansów, zawodów miłosnych... A gdy spotkał na swojej drodze przyszłą żonę, „Hemarysię" - Marię Modzelewską, to dla niej napisał m.in. przepiękne „Wspomnij mnie" i „Pensylwanię"...

Marzenia o poetyckiej sławie i popularności „pod strzechą"

Po latach w emigracyjnym Londynie wspominał takie zdarzenie sprzed wojny: „Pewnego jesiennego wieczoru w 1933 roku, siedziałem z Tuwimem i jego piękną żoną w Adrii, w loży przy ogromnej Sali Dancingowej. Na sali tłum, półtora tysiąca par podskakiwało rytmicznie i śpiewało jednym ogromnym głosem moją piosenkę. Jeżeli w jakiejś chwili czułem się „wieszczem narodowym", to właśnie wtedy."

(Marian Hemar, „Za dawno, za dobrze się znamy... Piosenki i skecze"..., s. 114.)

Natomiast w wierszu „Uczeń czarnoksięski" z przymrużeniem oka wyznawał:

O gdybym kiedyś dożył tej pociechy,
By moje piosnki zniknęły spod strzechy!
[...]
Ja pisywałem je nocą,
Dla kabaretu, dla baru,
Myślałem - niech ćmy trzepocą,
Starczy im na to czaru,
[...]
By łatwiej było z dziewczyną
Siedzieć i nic nie mówić,
Melodią jak kokainą
Westchnąć, refrenem się upić. [...]

(Marian Hemar, Uczeń czarnoksięski, [w:] http://liryka-liryka.blogspot.com/2017/05/uczen-czarnoksieski-marian-hemar.html)

Nie myliło go bowiem przeczucie, że wcale nie jego ostrze politycznej satyry ani komedie i ambitniejsze dramaty dyskursywne z przesłaniem moralnym, które pisał z myślą o narodowej scenie, ani zaangażowana społecznie i politycznie emigracyjna publicystyka zostanie tak w pamięci rodaków, jak garść Hemarowych piosenek, spośród wielu tysięcy przez niego napisanych...

Osiemdziesiąt lat po tragicznym wrześniu 1939 roku warto przypomnieć sobie o niezwykle różnorodnej i bogatej spuściźnie literackiej tego poety - człowieka arcypolskiego z wyboru - choćby pod pretekstem kolejnej, jakże ważnej dla Polaków wojennej rocznicy...

dr Magdalena Kubiak, Wicko

wiersze najnowsze

Grzegorz Chwiduk, Kępice

ZASKOCZYŁAM SWOJĄ WIEŚ

wróciłam do niej po trzydziestu
latach z hakiem nacieszyłam się
wielkomiejskim życiem nie stałam
się szczęśliwszą osobą mam już
siedemdziesiątkę na karku tęsknię za
spokojem nie podniecam się ilością
sklepów kawiarń marketów centrów
handlowych tłumy ludzi nie przełożyły
się na ilość przyjaciół wciąż bożena
z ukochanej wioski to moja najlepsza
przyjaciółka jesteśmy znów sąsiadkami
na okazyjne mieszkanie w dawnym
popegeerowskim bloku dałam się skusić
ogrzewanie mam z kotłowni jak i ciepłą
wodę a jaki piękny widok z balkonu na
znajome pola i bukowy las nie muszę
słuchać szumu samochodów dwa sklepy
spożywcze w zupełności wystarczą
mąż też zadowolony bo lepiej mu się
oddycha już tak nie kaszle i nie dusi
się śmierdzącym powietrzem od spalin
żyjemy wolniejszym tempem samochodu
nie mamy ale jest podmiejski autobus
do miasta mogę przyjechać w każdej
chwili na przykład do lekarza częściej
zaczęły nas odwiedzać miastowe
dzieci i wnuki sama się dziwię że
kiedyś uciekłam z tej wioski do
miasta w poszukiwaniu raju a teraz
z jeszcze większą radością wróciłam
do mojej krainy dzieciństwa tutaj na
miejscowym cmentarzu kiedyś spocznę
rozgadałam się niepotrzebnie może tym
pana strasznie nudzę a pan mieszka
w małym spokojnym miasteczku mądry
wybór panie młodszy połączenie wioski
z miastem takie dwa w jednym o tym
teraz wielu marzy

Krystyna Pilecka, Koszalin

LETNI DESZCZ

Na trawie
krople rosy
w blasku diamentowym
wiatr je gna gdzieś w dal
nie śpiewają nawet kosy
a parasol na ulicy błyszczący od wody
jak membrana drga...

Chmury pędzą po niebie
deszczu krople srebrne -
one jakby tańczyły z wodą
... Nam wspomnienie
słońca promieniami gra...

Samochody mokre
pędzą hen przed siebie
wydzwaniając rytmicznie
kapu-kap, kapu kap na deszcz i...
na wiatr...

***

Wrzesień - jesień...
A mnie jest lata żal

Puka ktoś do drzwi - ale
nie ma tam nikogo - to tylko liście
które wiatr pędzi w dal...

Chłodniejsze już słońce barwami mieni
(żółte, czerwone, brązowe)
zbiorę i... bukiet zrobię
z darów Pani Jesieni

Może wtedy lata
mniej będzie żal...

Puka coś do okna -
to kasztany piękne błyszczące
na parapet spadają
w gościnę się wpraszają
Ich z wiatrem nie porwie wiatr...

Bogumiła Skomoroko, Słupsk

INSPIRACJA

pogodny jesienny dzień
jedna z wielu szara ulica
spieszący się ludzie
i Ona - niezwykła
na tle tej szarości
cała w czerni -
pod męskim kapeluszem
blada twarz
i czerwony cienki szal
niedbale zamotany
wokół smukłej szyi
nie spieszyła się
kupiła gazetę i zamyślona
weszła do parku
babie lato fruwało w powietrzu
październikowy dzień
pełen słońca i złotych drzew
widziałam jej zamyślenie
gdy usiadła nieruchoma
z gazetą w ręku jakby wyczekująca
malarska sceneria - pomyślałam
i wyjmując szkicownik
utrwaliłam obraz
zwyczajnej szarej ulicy i Jej
w czerni i czerwonym szalu
- kobiety, która czeka.

NIC TO...

Tuż za moim oknem
Słupia
- dzikie kaczki
I szum wody na kamieniach.
Gałęzie drzew
poprzetykane bujną zielonością
i ciemny antracyt rzeki
prawie niewidoczny
wśród gęsto porosłych krzewów.
Ten widok
tak zwyczajny
i tak piękny,
to nie tylko paleta barw.
To świergot ptaków,
pelargonie na balkonie,
zapach kawy,
którą piję o poranku
i 46 m^2 mojego miejsca na ziemi
gdzie w bezsenne noce
same się piszą
niepotrzebne nikomu wiersze.
Nawet jeśli nic
to przecież coś...

Andrzej Szczepanik, Bytów

ŚCIANY PACHNĄCE WSPOMNIENIAMI

Budzi mnie powiew chłodu
Wpływa przez uchylone okno i muska
włosy jesiennym dotykiem
Nie otwieram oczu - słucham własnego
oddechu zmieszanego
z mglistym wspomnieniem wczorajszej
inności
Próbuję oddzielić myśli radosne i przyjemne
od zapachu mokrej ulicy i smutnych
kolorów opadających liści
żeby uchronić się przed nudą jesiennego
deszczu
płynącego strużkami po szybach pokoju
o cynamonowych ścianach pachnących
wspomnieniami

To moja oaza i przystań pełna
nastrojowej inspiracji
z plamami obrazów i błyskiem
porcelanowych serwisów
ukrytych za szybkami serwantki
Miejsce w którym jestem inny bo
zanurzam się
w czasach prawdziwych dla odległej
niezapomnianej urokliwości

Waham się między pragnieniem
a obojętnością...
Serce wali wtedy nostalgicznie mocno
spłoszone nieodwracalnością przemijania

SŁOŃCE I WIATRY

Hani Wagner

Było kiedyś takie słońce
co miejsce znalazło w naszych oczach
by zawsze były uśmiechem iskrzące
i lśniły jak gwizdy w nocach

Były wiatry z lasów znoszące zapachy
świerków sosen i wrzosów mieszane
trafiały podmuchem pod słomiane dachy
deszczu nitkami niezdarnie łatane

I my byliśmy pośród tych cudności
beztroscy jak w przestworzach ptaki
nieokiełznani w szczęściu matczynych miłości
byliśmy piękni jak polne modraki

Wieś nasza była i szkoła z akacjami -
naprzeciw kapliczki ze szczerbatym płotem
obok ogródka złotego forsycjami
błyszczącego oknem z czarnobiałym kotem

Były nasze matki żyjące w udręce
wspólne kłopotami w wojny czarnej trwodze
pamiętam jak kiedyś trzymały się za ręce
stojąc zamyślone na piaszczystej drodze

Ślady tej historii dawnej i dziecięcej
wrosły w nas Haniu bez szans na
zapomnienie
i nie napiszę już niczego więcej -
słów bowiem brak więc kończę
westchnieniem

Małgorzata Wątor, Gdynia

MYCIE UCZUĆ

Namydlam sobie oddech, zapachem ze
świeżej mięty.
Naniesionym szczoteczką do zębów, na
powierzchnię
Słów. Moje zdolności oratoryjne nie
przekonują postaci
Którą widzę w lustrze. Scalam się z nią
i odrywam.
Przenoszę spojrzenia i uśmiechy na szybę.
Za jej taflą, coś we mnie pęka na
siedem lat nieszczęść.
Pod naporem szczęścia, mam w sobie do
przerobienia
Dramat. Chwilowo wynajmuje u mnie duszę.
Zawsze płaci na czas. Nie
oznakowanymi dotąd przymiotnikami.
Wypluwam je do umywalki, w świecie
rzeczywistym.
Usta przecieram ręcznikiem.

W ROWACH

W Rowach, Morze na promenadzie
moczy stopy
Turystom. Woda zalewa im buty aż po
same kostki.
Dzisiaj jest sztorm.
Ostatni dzień lata, w którym stragany
z pamiątkami
Zawijają się i jadą do domu.
Autobusy przekreśliły rozkład.
Już nikt nie wie jak one właściwie jeżdżą.
Samochody na skrzyżowaniu wylewają się
Jak woda na boje. Z hukiem i z falą.
Śmierdzą jak odcięte głowy ryb w porcie.
Ptaki na ośrodkach się zlecą.
Z okolicznych wsi.
Aby ten bajzel po wczasach posprzątać.
Zakończyć lato.

Anna Karwowska, Dobieszewko

KAMILI (I)

w myślach moich brodzisz
na fali błękitu i słońca
wyjechałaś stąd
wybrałaś austriackie życie
wymieszałaś kolory języki pragnienia

na mapie w tym punkcie
gdzie stawiałaś pierwsze kroki
wymawiałaś pierwsze słowa
kwiaty zostały niezerwane

świt zapala czerwone pelargonie
cicho szepczą świerki
tuje bukszpany myśli toczą

serce bije na alarm
głosu w eterze
któregoś dnia nie usłyszysz

nocą spadam na ziemię
Ty jesteś tak daleko

KAMILI (II)

spójrz nowe słońce już wschodzi
poranna zorza płonie na niebie
anioł życia wśród pól chodzi
ziemia sypie kłosem kwiaty wonią

porzuciłaś dom lecz wciąż jest twój
matkę co za tobą tęskni i płacze

wiatr w oknie firanką trzepocze
ściany drżą od pamiątek
na stole chleb nasz powszedni

w tym miejscu zawsze jesteś dzieckiem
murawa oddycha twoją młodością
a ty gdy już jesteś ciągniesz w obce strony
drzwi domu rdzewieją

wszystko obce wydaje ci się cenniejsze
ciężko mówisz o polskiej ziemi
w obcym języku uczucia wyznajesz
a przecież obywatelką jesteś tego kraju

spiesz się spełnić życzenie matki
rozczulona do serca cię przytuli
ojczystym obyczajem chlebem przywita
kolce życia w róże przemieni

(Wiersze z najnowszego tomiku
„Wśród innego świata".)

Zenon Marian Lasoń, Słupsk

ORZEŁ W ZŁOTEJ KORONIE

Jest Orzeł, który żyje w pięknym kraju
nad Wisłą
To Orzeł w Złotej Koronie
Jego Dom burzony był nieraz przez wrogów
On stawał w Jego obronie

To Orzeł, który broni swego Gniazda
od wieków
To Orzeł niezwyciężony
On kocha Ojczyznę, On kocha swoją Polskę
Jego sztandar jest biało - czerwony

Ile razy Wisła krwią polską spływała
On sztandar do walki podrywał
I stawał na czele na polu bitewnym
Do boju, do boju Nas wzywał

Ten Orzeł, który żyje w pięknym kraju
nad Wisłą
To Orzeł w Złotej Koronie
Jego Dom burzony był nieraz przez wrogów
On stawał w Jego obronie

Ten Orzeł Biały z polskiego Narodu
Choć żyje wśród waśni i sporów
On kocha Ojczyznę i niesie zwycięstwo
On broni polskiego honoru

To Orzeł, który budzi w Nas męstwo i odwagę
To Orzeł w Złotej Koronie
I miej Go przy sercu zawsze i wszędzie
On stanie w Twojej obronie

Emilia Maraśkiewicz, Darłowo

GOSPODARZ

orze bronuje sieje zbiera...
nie zauważył kiedy posiwiały mu włosy
a oczy wypłowiały od słońca

dopiero niedziela go zatrzymuje
choć to wydaje się być równie niemożliwe
jak zatrzymanie piasku w klepsydrze

niedziele są rzadkie ale tak słodkie
niczym te rodzynki w pachnącym keksie
który żona upiekła na Wielkanoc

w duszne letnie wieczory
gdy powietrze wprost ciężkie od upału
komar błaga o kroplę krwi

i tak żyje od niedzieli do niedzieli
pełen oczekiwania liczy szanse na urodzaj
zanim nie zabierze go śmierć

LISTOPADOWY SAD

stoi w fioletowym mroku
wystrojony w miłą soczystą ciszę
kłębki wędrującej mgły

słońce rozsuwa chmury
i mamrocze zdanie z sensem
trzeba ratować jabłka

nagle gwizd wichury
zrywa ostatnie zardzewiałe liście
które opadają z lamentem

grad z czarnego nieba
dudni podkutymi buciorami
po dachach parapetach

liść poszukuje schronienia
w różnych zakamarkach ziemi
a nawet w kałuży

z najwyższej gałęzi
spada z jękiem złociste jabłko
na oszronioną murawę

Emilia Jastrząbek-Zimnicka - Izbica

JESIEŃ

Skłania się słońce ku jesieni
niedługo chłodem świat przywita
Noc się perłami rosy mieni
Po lasach lila wrzos zakwita
Zebrane plony cieszą oczy
Wszak zima taka długa
Niebieskie szczęście
Świat jednoczy
Dobroci Boskiej smuga
Nocą cichutko księżyc
Z milionem gwiazd pospołu
Barwi srebrzyście jarzębiny
Stojące w cud ogrodach

NIE ODGADNĘ

Nie odgadnę prawdy
O świecie i kosmosie
Bo niebo jest błękitną tajemnicą
Ziemia puszczą pełną zasadzek
ścieżek krętych
Wiara choć mocno w Ciebie wierzę
Panie Wieków
Jest dla mnie niepojęta jak Twe wyroki
Władco
Jednak podziwiam cud gwiazd
Na granacie nieba
Wsłuchuję się z zachwytem
W śpiew słowika na krzewie jaśminu
Podczas jedynej przecudownej wiosny
Bo zieleń wybujała z siłą wulkanu
Piasek wydm taki złoty i biały
Pragnę to piękno zamknąć w oczach i sercu
Dziękując Stwórcy za ten świat
Za każdy oddech ziemi
Tak dobry i radosny

Romana Małecka, Kwakowo

KLUCZ

W twojej naturze
Delikatność koronkowej piany
Muskającej stopy dziecka
I psotna fala zmywająca piaskowy zamek.
W twojej naturze okrucieństwo.
Wyrywasz drzewa,
Połykasz nabrzeża
i to co na twoim grzbiecie.

W twoich oczach
święty błękit nieba i cień tajemnicy.
Radość poranka i ziarno szaleństwa.

Twoje ręce łagodne,
Skore do pieszczoty, tworzenia,
Potrafią zburzyć odwieczny zabytek
I całe miasta.

Sadzisz drzewko,
ale unicestwiasz puszczę.
Poczynasz życie,
lecz zatruwasz
i uśmiercasz całe narody.
Gdzie szukać kluczy rozwagi
W drodze do jutra?

Aldona M. Peplińska, Motarzyno

A MIAŁO BYĆ TAK PIĘKNIE

Niczym zgłodniałe wróble
Przysiadły chórem na zapomniany
Kawałek chleba
Jeszcze wstydliwie rozglądając się dookoła
Przy skrzydlatych szturchańcach starszych
Częstowały się ucztą od dawna
spragnionej uwagi
I rozochociły się apetyty na kolację
Po tak smakowitym obiedzie
oczekiwanego zaspokojenia
Radość uśmiechała się w blasku
roztrzepotanych skrzydeł
Aż niebo zarażone szczęściem schowało
wszystkie czarne chmury...

I zerwał się wiatr
Dobrze znany pęd wszelkiej
nadgorliwości
Pozrywał wszystkie nici z trudem
utkanego dywanu miłości
Rozkrzyczały się pierzaste serca
odfruwając w nieznane
Pozostawiając niedokończoną
smakowitą skórkę nad ulubionym
stawem...

PIERŚCIENIE

Jakże one dumne, jakie dostojne
W promieniach słonecznych podziękowań
Stoją w dwuszeregu niczym warta przy ołtarzu

Wspaniałe wyczesane grzywy jęczmienia
Rzęsy falujące zalotnym spojrzeniem
W dzwonkowych koralach owsianych
warkoczy

A te koronki wyplatane niczym kilimy
Porozrzucane na ramiona dobrobytu
A te wieńce kwieciste z ogrodowych
dywanów

Jeszcze tylko wstążki smakowitych
owocowych przekąsek
Kusząco zapraszające swym dorodnym
wyglądem
Jeszcze tylko zapach zawstydzonej skórki
domowego chleba

A pośrodku znak Pana figurka Panienki
Z Błogosławieństwem w barwach Biało
- Czerwonej
Jeszcze haft kaszubski na świeżym krochmalu

I przysiadł gołąbek dziobnął kogucik
Koniki zarżały pod wyklejonym
skrzydłem młyńskiego ramienia
A gdzieś pod makową brzozą gospodyni
krowę prosi o szklankę mleka...

Irena Peszkin-Bobińska, Koszalin

MILCZENIE GENIUSZA

Przechodzę co dzień alejka parkową
o aurę geniusza myśli ocieram
marząc by chociaż raz
zaszczycił mnie rozmową
Niestety - zostaje mi monolog

Nie widzisz mnie -
bo mosiężne oczy twoje
Nie odpowiadasz na pozdrowienia
no bo jak - kiedy usta twe spiżowe

A ja co dzień cześć ci oddaję
podziwu pełna i zachwytu
nad twoim mądrym spokojem
Cyprianie

Twoja rozwaga już tylko
milczącym kamieniem lecz słowa
W wielu sercach zasiane -
wciąż płomieniem zakwitają

A ja dotąd nie wiem
co ciebie mistrzu zabiło -
czy sprawił to brak wiary
w człowieka
Czy niespełniona miłość

Anna Kowalska - przekazywała wiadomości do Londynu

Kiedyś na KOR-owców, którzy pojechali do radomskiego sądu udzielić wsparcia represjonowanym robotnikom, poleciały jajka. Jedno trafiło Ankę Kowalską. Surowe żółtko rozmazało się jej na głowie, białko ściekało po szyi. - Świetnie - śmiała się, rozczesując włosy. - Mam odżywkę do włosów. Anka Kowalska nawet nieprzyjemne wydarzenia umiała przerobić na pogodne

Anka Kowalska, właściwie Anna Kowalska urodziła się 22 lutego 1932 roku w Sosnowcu, a zmarła 29 czerwca 2008 w Warszawie. Poetka, prozaiczka i dziennikarka, działaczka opozycji demokratycznej w PRL-u. Była córką Jerzego Kowalskiego i Zofii Gębickiej. W czasie drugiej wojny światowej przebywała w Sosnowcu do 1940 roku, a potem na wsi pod Olkuszem. Po wojnie rozpoczęła naukę w II Liceum Ogólnokształcącym im. Emilii Plater w Sosnowcu, natomiast maturę zdała w 1950 w Liceum Ogólnokształcącym w Będzinie. W 1955 ukończyła filologię polską na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim. W czasie studiów debiutowała w czasopiśmie Słowo Powszechne (1953 r.). W 1955 zamieszkała w Warszawie i została dziennikarką. Pracowała początkowo jako korektorka, a później redaktorka w piśmie Kierunki. Pracowała również w wydawnictwie Stowarzyszenia „Pax" - od 1962 roku. W latach 1960 - 1968 należała do tego stowarzyszenia, z którego wystąpiła w ramach protestu przeciwko jego stanowisku wobec wydarzeń marcowych. W latach sześćdziesiątych publikowała poezję i prozę, a także ukazywały się jej recenzje we Współczesności i miesięczniku Życie i Myśl. Od 1968 do 1983 roku była członkiem Związku Literatów Polskich, a od 1983 - Stowarzyszenia Pisarzy Polskich. W latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych ub. wieku współpracowała z pismami drugiego obiegu wydawniczego: Puls, Zapis, Biuletyn Informacyjny KOR, Kultura Niezależna, Krytyka oraz z paryską Kulturą i Zeszytami Historycznymi. Opublikowała kilka tekstów wspomnieniowych, m.in. dotyczących działalności w KOR, zebranych w tomie „Folklor tamtych lat". Jej powieść „Pestka" została przetłumaczona na pięć języków, a w 1995 roku na jej podstawie nakręcono film w reżyserii Krystyny Jandy. „Pestka" to jedna z najbardziej przejmujących opowieści miłosnych w polskiej literaturze powojennej. To historia małżeńskiego trójkąta i zakazanego uczucia, pełna życiowej prawdy i pytań bez jednoznacznej odpowiedzi. Zaskoczeni intensywnością i gwałtownością uczucia, które spada nagle i niespodziewanie, Agata i Borys stają przed dramatycznym wyborem: czy ocalą własne szczęście, nie krzywdząc bliskich? Czy mają prawo do miłości, która niszczy dom i rodzinę? „Pestka" wydana po raz pierwszy w 1964 roku była wielokrotnie wznawiana.

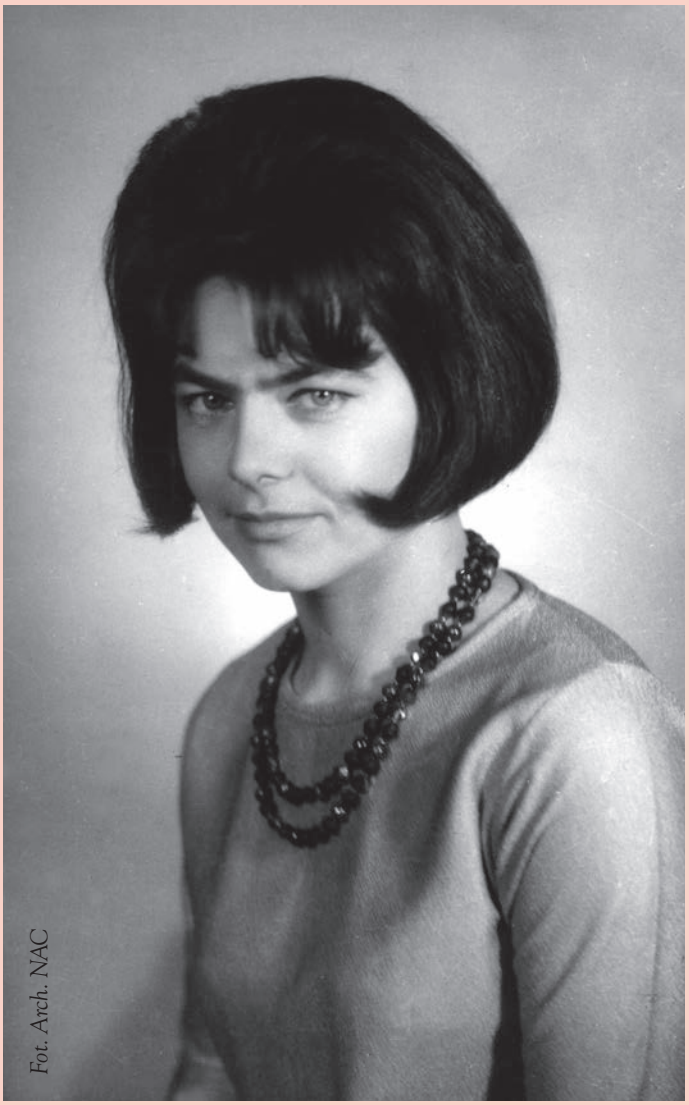

Fot. Arch. NAC

Działalność opozycyjna Kowalskiej datuje się od 1976 roku. Wtedy rozpoczęła współpracę z Komitetem Obrony Robotników, wyjeżdżała jako obserwatorka na procesy robotników w Radomiu, w styczniu 1977 została członkiem KOR, prowadziła Kartotekę Radomską. W okresie aresztowania najaktywniejszych działaczy KOR-u odegrała wraz z Haliną Mikołajską i Grażyną Kuroń dużą rolę w podtrzymywaniu aktywności Komitetu, m.in. przejęła redagowanie Komunikatu KOR-u. Od września 1977 wchodziła w skład Komitetu Samoobrony Społecznej KOR, nadal redagowała Komunikat, a od 1978 należała do podpisujących Biuletyn Informacyjny. Była nieformalnym sekretarzem Komisji Redakcyjnej KSS „KOR". Jej dziełem jest w dużej mierze tzw. „korkowiec" - suchy i precyzyjny język dokumentów KOR-u. Prowadziła także bank informacji o represjach. Wzięła udział w listopadzie 1978 roku w głodówce w Bazylice św. Krzyża w Warszawie w solidarności z sądzonymi działaczami opozycji w Czechosłowacji - tzw. Karty 77. Była wielokrotnie zatrzymywana, w jej mieszkaniu Służba Bezpieczeństwa przeprowadzała rewizje. Latem 1980 roku uczestniczyła w stworzonym przez Jacka Kuronia systemie zbierania informacji o strajkach,

a gdy jego telefon był wyłączony, przekazywała wiadomości do Londynu. Działała w Solidarności. Od 13 grudnia 1981 do 1 czerwca 1982 roku była internowana. Trafiła do obozu w Gołdapi, później przeniesiono ją do Darłówka. Zwolniona, dzięki organizacji Lekarze Świata wyjechała na leczenie do Francji, skąd wróciła do Polski w 1983 roku i przeszła na emeryturę. Mieszkała w Warszawie, ale po śmierci, zgodnie z życzeniem, jej prochy spoczęły w rodzinnym Sosnowcu. W 2012 roku zorganizowano w Sosnowcu obchody uczczenia jej 80. rocznicy urodzin, w których uczestniczyli m.in. Bogdan Borusewicz i Andrzej Seweryn. Na fasadzie bloku przy ulicy Czerniakowskiej 201 w Warszawie, gdzie mieszkała, została umieszczona tablica upamiętniająca ten fakt.

Kiedyś na KOR-owców, którzy pojechali do radomskiego sądu udzielić wsparcia represjonującym robotnikom, poleciały jajka. Jedno trafiło Ankę Kowalską. Surowe żółtko rozmazało się na jej głowie, białko ściekało po szyi. - Świetnie - śmiała się, rozczesując włosy. - Mam odżywkę do włosów. Anka Kowalska nawet nieprzyjemne wydarzenia umiała przerobić na pogodne. Na początku KOR-u spotkała przed furtką swego domu dwoje znajomych ludzi. Uznała, że to są osoby, którym KOR pomagał. - Przepraszam - powiedziała - ale muszę lecieć na zebranie KOR-u. - Nie, pojedzie pani z nami na komendę - odpowiedziała owa para, która okazała się funkcjonariuszami SB. Kowalska znała ich twarze z rewizji w swoim mieszkaniu. Jak wyszła, to opowiedziała to wszystkim naokoło, parodiując i siebie samą i owych funkcjonariuszy.

KOR rewolucjonizował wszystkim życie prywatne. Nie można było mieć w domu prywatnych listów. Nie można było normalnie rozmawiać. Nie można było sobie nic prywatnego notować. To dla pisarki Kowalskiej było trudne do zniesienia. W książce „Szminka na sztandarze" poświęconej kobietom „Solidarności" tak tłumaczy jej autorce Ewie Kondratowicz, dlaczego wstąpiła do KOR-u: „Była to paroletnia, naskładana gorycz, poczucie zupełnej beznadziejności, spędzanie życia

Fot. wikipedia.org

w świadomości, że ono po prostu jałowo płynie w warunkach głupstwa, wszechpanującego głupstwa, co najmniej głupstwa i kłamstwa. Poczucie, że jest się na jałowym biegu. Na nie się człowiek nie zgadza, niczego nie jest w stanie aprobować, nie może też niczego zrobić, bo ani pomysłu nie ma, ani siły."

W KOR Anka Kowalska zajmowała się m.in. redagowaniem biuletynu o represjach - zbierała informacje o tym, kto został zatrzymany, kogo zwolniono, kogo pobito lub wyrzucono z pracy. Komunikaty były pisane suchym językiem faktów. - Wstrętnym, drewnianym językiem, korkowcem - mówiła Kowalska. - Dla pisarki taki język był jak więzienie.

Jadwiga Michalak, Naćmierz
(Na podstawie Wikipedii)

Anna Kowalska - wiersze miłosne

APOSTROFA DO MIŁOŚCI

Zanim gwiaździsty palec przetnie moje żyły
grzechem płynące jak mlekiem i miodem
ty ciało moje z wodorostów rozwiąż
i muł zielony z oczu -

Zanim wiatr zwieje plewy
spod klepiska skroni
już ty wyłuskuj ziarna
i chroń je przed ptakiem
i chroń je przed ulewą
i przede mną chroń je
- owoc kamiennej gleby

Nim Bóg jastrzębim dziobem
zaryje się we mnie
- ty mnie przede mną ocal

KONWALIOM

W najcichszy ogród konwalii
w najdzikszą traw wybujałość
przyniosę ci na spotkanie
wszystko co mi zostało
a pozostało mi tyle
że sama ledwie uniosę
więc musisz przyjść na spotkanie
najdroższy

co mi skradziono odtworzę
co sama straciłam odzyskam
nad twoim zabłąkaniem
roztoczę się jak przystań

i z gwiazd się nam nie otrząsnąć
i będziemy się bardzo kochali
pod słońcem i pod księżycem
i przez gałązkę konwalii

a niebo ku wodzie się skłoni
a wiosna włosy nam zwichrzy
i nigdy nic się nie skończy
najmilszy

na wiatr na las na wodę
aż do łez niebieską niebieską
wysyłam ten list bez znaczka
ten list
bez adresu

WRÓŻBY

O jak ty byś mnie kochał -
prawda?
- jak sól miecz żebro
jak kraj którego nie ma
ocalenie i zgubę

ty byś do moich źrenic
czule jak powieka
ty byś do moich dłoni
jak braciszek wróbel

ty byś wiedział co mówię
kiedy z głębi milczę
strach przy tobie niestraszny
noc dźwięczna jak kryształ
ty byś mnie w płaczu zbawił
i wywiódł z dolliny

O jak ty byś mnie -
prawda?

- gdybyś istniał

(Portal wierszy miłosnych,
https://milosc.info/anka-kowalska)

„Taki był Boży plan”

Anna Karwowska - poetka prostego słowa, wzruszająca w swojej prawdzie o życiu i szczerym, bezkompromisowym stosunku do otaczającej rzeczywistości, przemian społecznych, do niezrozumiałych dla niej wyborów młodych, wydała nowy tomik swoich wierszy

Po przeczytaniu najnowszego tomiku wierszy pani Anny - „Wśród innego świata”, chcę wyrazić szacunek, podziw i wzruszenie jakie towarzyszyły mi przy tej lekturze. Dla mnie Anna Karwowska jest poetką, której wiersze są jak kamienie, ciężkie od doświadczeń, biedy, krzywdy i samotności. A te o dzieciach - odsłaniają prawdę o kobiecie - matce zbyt kruchej, by udźwignąć jej ciężar. A jednak.

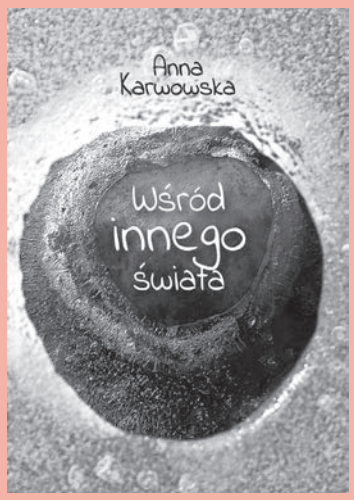

Myślę, że siłą poetki była miłość do dzieci i konieczność zapewnienia im „startu do świata” oraz wychowania na uczciwych ludzi. Pisze:

jak ptaki swoje pisklęta
Kocham was moje dzieci...”

A credo swojego życia prostymi, ciepłymi słowami wyraziła w wierszu „Jak rzeka”:

żyłam skromnie
by dzieciom dać jak najwięcej
nauczyć oddzielać ziarno od plew
odróżnić dobro i gniew...
mimo że... „Przekorny los wodził mnie za nos”.

I wychowała, wykarmiła, wykształciła w ciężkim pegeerowskim trudzie - samotna matka, której los nie szczędził trudnych wyborów. Dzieci wyemigrowały i tylko papier przyjmował słowa tęsknoty i miłości matczynej. Jej uczucia wyraża m.in. wiersz „Wyjechali”:

telefon milczy
skrzynka na listy pusta
pustka
darmo wypatruje oczy
cisza
darmo otwieram usta
wyjechali...

Być może dlatego poezja stała się azymutem jej życia, a poetyka słowa w swojej prostocie - prawdą o smutku i samotności.

Czytając wiersze pani Anny do dzieci, nie mogę oprzeć się wrażeniu, że więcej o miłości i tęsknocie do nich powiedzieć nie można.

Przejmujące w swej wymowie brzmią wiersze „Do syna Tomka”:

...synu przyjeżdżaj
kiedy tylko możesz
bym się cieszyła...

i... „Do córki Kamili”:

wracaj z oddali
póki ogień w kuchni się pali
póki matka czeka przy stole
póki nie jest za późno...

Tak oszczędnie i tak zwyczajnie wyraża Anna Karwowska najbardziej osobiste i szczere w swej wymowie uczucie pustki i żalu. Dzieci wybrały inny świat i rzadkie odwiedziny tylko pogłębiają osamotnienie poetki.

I choć:

wokół piękny świat
wszędzie gra muzyka
w domu przez otwarte okno
łapię każdą chwilę
czasem chodzę po pustym mieszkaniu
jak po niebie
i ciszą ozdabiam dzień...

Fot. J. Maziejuk

Przyznaje też w wierszu „Pokrzyżowane plany”, że choć:

zaginął życia smak
i uleciała wena

mimo wszystko refleksyjnie podsumowuje swoje życie stwierdzając:

to wszystko tak zwyczajnie
oddaję w ręce Boga
bo już nic się nie zmieni
taki był Boży plan

Dziękuję pani Anno za piękne i mądre wiersze.

Bogumiła Skomoroko, Słupsk

PRZECZYTANE

Scena pozamałżeńska

Gdyby wiedziała, że nazwę ją starszą panią na pewno by się obraziła. Ale pewnie nigdy się nie dowie, że to historia o niej

PROZA / FRAGMENT

Jest jedną z tych kobiet o pięknych, smukłych nogach i zbyt zwalistym korpusie. Martwi ją brak wcięcia w tali i płaskie pośladki a teraz pewnie jeszcze wiotczejąca skóra, ale nadal pozostaje kokietką. Słodkimi słówkami broni się przed dojrzałością. Dziecinnie odgarnia kosmyk z policzka zanim zbliży filiżankę z ulubionym espresso do ust. Zawsze musi zagryźć je migdałem w czekoladzie, a takie podają tylko w Cafe Nostalgia na Starym Mieście i w pociągach Intercity. Spędza w nich długie godziny, ciągnące się w nieskończoność, a ona jest jak mała dziewczynka, niecierpliwa w oczekiwaniu na spotkanie z Redem. Tak go nazywa. Naprawdę ma na imię Ryszard, ale to takie banalne. Życie jest zbyt niesamowite, żeby tak do niego mówić.

Wszystko ma być niesamowite i romantyczne, bo ona chce, żeby tak było. Chce także aby on nazywał ją Scarlet, chociaż w tych chwilach kiedy są sami. Przy stoliku w kawiarni, gdy on ma pewność, że nikt nie usłyszy albo w już w hotelu. Zawsze uśmiecha się na wspomnienie tych wspólnych momentów bliskości, kiedy on traci kontrolę nad emocjami, przestaje w końcu być dobrze ułożonym urzędnikiem państwowym, wysoko postawionym, z wysoko postawionym, wykrzesującym z jej krtani wysokie C. Zapomniałabym dodać, Scarlet jest śpiewaczką operową.

W pierwszych ciepłych promieniach wiosennego słońca idą ulicą Scarlet i Red. On w niczym nie przypomina amanta filmowego, ale ona takim go widzi.

- Popatrz jak pięknie wyglądają kandelabry w słońcu - mówi Scarlet i odwraca głowę.

On nie podąża za jej wzrokiem, patrzy na jej duże pośladki ukryte w szarych spodniach. Długo, za długo zatrzymuje na nich wzrok.

- A co powiedziałaś dzisiaj?

- Prawdę - śmieje się filuternie - że mam ważne, bardzo ważne spotkanie - jej głos jest miękki, podszyty nutą niesforności.

- Może nie trzeba było się tak spieszyć, bo muszę dzisiaj wracać do Lublina.

- Może - uśmiecha się i łapie go pod ramię. Przecież i tak wie jak to się skończy. Ona tu rozdaje karty. Jeszcze ona.

Nikną w drzwiach popularnej i obleganej w mieście restauracji. On puszcza ją oczywiście przodem, ona odrzuca w tył głowę, a jej złote loki przyciągają spojrzenia mężczyzn.

Aleksandra Majdzińska
Stara Dąbrowa

Błotniste pola

W Kaliszu cały dzień koczowali na dworcu. Wieczorem nadjechał pociąg. W ogromnym ścisku dotarli do Częstochowy i z tobołami zawędrowali na Jasną Górę, żeby prosić Matkę Boską o wsparcie na dalszą drogę. Dopiero następnego dnia w południe stanęli przed miejscem, które dumnie nazywano Nową Hutą

OPOWIADANIE

Nad mogielnickimi dachami zapadł zmrok. Światło naftowej lampy ledwo zahaczało kąty izby. Za stołem siedzieli matka i syn. Ojciec usiadł na małym taborecie obok kaflowej kuchni i palił machorkę, co chwilę podkładając cienkie szczapy pod kuchenną płytę. Drwa się czasem odzywały radosnym strzelaniem i był to jedyny znak przerywanej ciszy. Matka nie spieszyła się na rozmowę, a i synowi też nie było do niej spieszono. Wreszcie zaczęła łagodnie, choć najwyraźniej nie miała na to ochoty. Syn był na tyle dojrzały, żeby w lot pojąć intencje matki.

- Jasiek, a cóżeś ty tak mitrenzys z tym obżenieniem? A co to synek cy u nos we wsi dziewuch na wydanie nie mo?

- Som matulu, som, ale jo to tak by chcioł z miłości. Tak zakochać się, ze życio poza niom nikach nie widoć.

- Przecie Josiek tygo kwiatu to pół świotu.

- No niby tok matulu, ale jo to tok by chciał, zeby mnie, wicie przy tym tok pieron strzylić mioł.

- No i co strzylił? - zapytała matka.

- Ano tok matuś, ano tok.

- Łot, myśloł, myśloł i wymyśloł. A ty, co sobie smarku jedyn myślisz, ze my z ojcem to bez miłości wos zrobili. Miłość to tylka takie tom godanie po próżnicy, synek.

- Kochałaś ojca, jako ześ szła za niego?

- A cóżeś to za pytonie. Nie trza było. Chłop jok się potrzy był i samo jakośk tok wyszło. Nie to, co teroz. - Tu odwróciła się w stronę zgarbionej sylwetki przy kaflowej kuchni.

- Ale cy wedle wos matuś tom była miłość - domagał się Jasiek.

- No po prawdzie psysła swatka, z ojcami godoła, ze litra wódki wychlali, no i za jakie dwa misionce ja juz była narowiona do wynścia za mynza.

- Cyli matuś miłości nikach nie było.

- A jako ze nie było, jak on na mnie wlozł i do siennika przyporł. Przecie wy sie z tyj miłość wzieli. Ty i Mogda.

- Ale ja nie o takiej miłości, prawie matuś.

- No, nie, godoj mi tu zara, jako ze na świntej spowiedzi, co z Frankowom córkom byndzie?

- Ano nic, matuś. Nic nie byndzie.

- No bój sie Boga, synek. Frankowej córki nie chcysz, to kogo ty chcysz?

- Ale matuś jo nie kochom Jadwigi Frankowej.

- A cego ty chcysz. Cego jej brakuje. Przecie siedzisko mo jok sie potrzy, a i oddychoć tyz mo cym. Toć nie jeden chłop na nium ukradkiem spoziera.

- Ale jo do nij nic nie cujem, matuś.

Matka chwilę postała przy kaflowej kuchni przy mężu, który nie odezwał się ani słowem i z namysłem powiedziała:

- No to, którom ty chcysz za swoje zone?

- Najbardziej, matuś, to podobo mi sie Marysio Smrygołowa.

- A to ześ już ty do resty ocadzioł. Przecie ona je z gołom dupom i majontku zadnego ni mo. Nie to, co Jadwiga Frankowa. Kruwe nom dajom, łot, co! I i tom łonke przed losem. Dwo kwintale owsa i kopiec kortofli po wykopkoch. To je partio, synek, nie to, co ta twojo.

- Widzem matuś, ze juz handlujecie mojom dusom, ale jo tom zadnych majontków nie chcy. Jeno Maryś mi tero w głowie. Ot, co.

- A jok wy zyć byndzieta, co?

- Ano trza nam wyjechoć, matulu, trza nam w świot jechoć. Trza nom matuś do Nowej Huty jechoć za robotom sie jakom rozyjrzeć.

- A skund ty synek o tyj Nowej Hucie tyla wis?

- Sołtys cytali, że mieszkonia dajom i robote fest można mić. Że to możno mić tyn zyciowy stort, o cym tyla godajom.

- Sołtys, sołtys jedno gazete w zyciu przecytoł i myśli ze Gomułkom, albo Cyronkiewicem sie ostanie. Przecie to świat drogi synek i dla kogo ty tam niby mosz jechoć? To dla tego gołodupca pojechoć chcys? A idź ze ty lypiej, synek kuniu owsa zadać, bo parsko na zorcie, aze tu słychoć.

Następnego dnia nad Mogielnikami wstało słońce, które zdało się przeganiać resztki sniegu zalegające podwórze i topić gigantyczne sople zwisające z dachu. Jasiek wyszedł z chaty i spojrzał w kierunku zabudowań Smyrgołów. Tam była jego ukochana i zaraz przypomniał sobie wczorajszą rozmowę z matką: Nie będzie łatwo - pomyślał.

- Łojciec, no to jak byndzie z moim wyjozdem. Nie chce ja wom na przekór robić, jeno po dobroci - odezwał się Jasiek, wchodząc do izby. Matka stała przy kuchni i gotowała zupę. Czasem tylko, gdy była przekonana, że nikt tego nie widzi, ocierała fartuchem oczy. Ojciec podniósł głowę i spojrzał na syna jakoś tak przejmująco. Panowało milczenie, pierwsza odezwała się matka:

- Synek, a ty chcysz nos na stare lata w biedzie ostawić?

- Matulu, przecie Magde lada dziń wydocie za Józka Paszkowiaka, to sami przecie nie ostaniecie. Nie od dzisioj zymby sobie ostrzy na nase gospodarke. Dobrze wom byndzie przy Mogdzie. A jakby, co, to do mnie przyjedzieta, jakiś kunt się dla wos tyz znojdzie.

- A uchowaj Boże, jo i miasto. Cyześ ty synek juz zgłup do resty?

- No co, mieszkonie bede mioł, to i wos ojce pod swój doch przyjma - odparł rezolutnie Jasiek.

- Och głupiś ty synek, głupiś, az ze sie kurzy z twujej łepetyny. A łuna ci pozwolenie na to do, co by nos wziunć pod doch?

- Marysia nie jest tako, jako ze pomyślujecie. Syrce mo i dlatego jom miłuje scyrze.

- Łoj, synek, synek - matka machnęła ręką i wyszła z izby.

- Łojciec, na jutro skoro świt woza mnie z kuniem trza, co by nos z Marysiom na pyrun do Zleszczyków odstawić. Tam pociung do Kalisza staje.

Ojciec milczał, zaciągnął się tylko machorką i podłożył kilka drewienek pod płytę.

- To jok byndzie, łojciec z tym kuniem?

Jasiek nie doczekał się odpowiedzi. Wieczorem spakował worek, a że było tego niewiele, położył się spać. Kiedy rankiem rozejrzał się po podwórzu nie było na nim ojca. Jasiek pomyślał sobie wtedy, że jeśli nie zdążą na ten pociąg do Kalisza, to już nigdy nie wydostaną się z tego mogielnickiego błota. Kiedy ruszył w kierunku chaty Smyrgołów naprzeciw jemu wyjechał wóz zaprzężony w jednego konia. Kiedy wóz się zatrzymał, chłopak zauważył, że na koźle obok woźnicy siedzi Marysia. Przed peronem w Zleszczykach, na którym zatrzymywał się tylko jeden pociąg dziennie, ojciec zajechał półkolem.

Fot. M. Mihaylov / pixabay.com

Fot. J. Mu...

- Dzienkuje tato, ostanita sie z Bogiem - odezwał się rozradowany Jasiek.

- I wy tyz ostanita sie z Bogiem. Wis Jasiek - dodał ojciec po krótkim namyśle i słychać było ze słowa te wypowiada z wielkim trudem. Jakby nagle teraz właśnie w tej chwili nabrały one mocy i ulatywały z jego ust spłoszone. - To nieprowda, co matka godała. Łona tok tylko godo po próznicy, zeby mi sadła za skóre zaloć. Ja tyz jom kochołem joko nikogo na świcie. Bondcita szcynśliwi w tym wosym syrokim świcie. Niechoj sie wom tom darzy. Amen.

Ojciec wykonał znak krzyża i świst bata przeszył powietrze. Jasiek zdążył jeszcze dostrzec jak po starczej twarzy spływają ciężkie łzy. W Kaliszu cały dzień koczowali na dworcu. Wieczorem nadjechał pociąg. W ogromnym ścisku dotarli do Częstochowy i z tobołami zawędrowali na Jasną Górę, żeby prosić Matkę Boską o wsparcie na dalszą drogę. Dopiero następnego dnia w południe stanęli przed miejscem, które dumnie nazywano Nową Hutą. Zobaczyli jakieś pokraczne budowle tonące w wszechogarniającym błocie, gdzie niemający wprawy robotnicy gubili swoje gumiaki. Zobaczyli jakieś drewniane baraki sklecone na prędce, które zastępowały tymczasowe schronienie, prymitywne łazienki i stołówki.

Ogromną masę uwijających się ludzi w waciakach z taczkami, łopatami i kilofami. Ta błotnista ziemia poprzecinana była siecią rowów, drewnianych szalunków, z których wystawały kikuty żelaznego zbrojenia. Prowadziły do nich sklecone z desek ścieżki, a po tych z zawrotną szybkością kursowały taczki. Ten widok oszałamiał dynamiką, wszędzie coś się działo. Po zakwaterowaniu Jasiek trafił do brygady budowlańców, Marysia do pracy w kuchni. Spotkali się w obiad i wieczorem. W ich pokoju Jasiek spał na drewnianej podłodze, Marysia na łóżku. Nie wyobrażali sobie wspólnego pożycia w tym miejscu.

Minęło kilka ciężkich lat. Dostali upragnione, dwupokojowe mieszkanie z kuchnią i łazienką. Ale do pełni szczęścia było jeszcze daleko. Nowa Huta dopiero rozkwitła. Było to miasto bez Boga - tak postrzegali je komuniści, wszystkie inne do tej pory, bo wybudowane od podstaw chłopskimi i robotniczymi rękami. Potem Jasiek z innymi bronił krzyża i pracował po robocie przy budowie kościoła, w którym pierwszą mszę dziękczynną odprawił Karol Wojtyła. Na drugiej mszy Jasiek i Marysia wzięli ślub. I to już była ta ich prawdziwa pełnia szczęścia. Z Mogielnik Jasiek sprowadził matkę. Mieszkała z nimi przez osiem lat aż do śmierci. Ojciec zmarł zaraz po wyjeździe syna.

Gdy robota na budowie się skończyła Jasiek zatrudnił się w Hucie na wydziale walcowni. Była tam ciężka praca, ale i pieniądze większe. Wieczorami kontynuowali wykształcenie. Potem przyszły studia. Jan został inżynierem i do emerytury pracował na wydziale walcowni. Marysia po ukończeniu pedagogiki podjęła pracę w szkole podstawowej. Dochowali się dwójki dzieci. Potem przenieśli się do Katowic. Dzieci założyły własne rodziny. Kacper z żoną mieszka nadal na Śląsku i zawodowo związany jest z przemysłem ciężkim. Monika wyjechała z Polski do dalekiej Japonii. Kiedy zapytałem przez Skype czy warto było podejmować taką decyzję, Marysia spojrzała na Jana i prawie jednocześnie odpowiedzieli: bezsprzecznie było warto! Miłość nas połączyła i wskazała drogę do przyszłego życia.

Czesław Kowalczyk, Słupsk

Basia

Szeroko otwartymi oczami dziewczynka wpatrywała się w uciekające do tyłu drzewa, łąki, jakieś chaty. Pociąg pędził, koła głośno stukały, wszystko dookoła trzęsło się i skrzypiało. Obraz za oknem co chwilę zakrywała gęsta, czarna chmura dymu - widocznie palacz dorzucał węgiel do pieca parowozu, ale tego mała dziewczynka nie wiedziała. Nie rozumiała też lęku w oczach matki, gdy wagonem rzucało coraz mocniej na boki

- Banderowcy potrafią zatrzymywać pociągi, Bóg wie co wtedy z nami zrobią - usłyszała. Nie rozumiała, ale bała się. Banderowcy? To pewnie zbóje z lasu. Przypomniała sobie bajki opowiadane przez starszą siostrę.

Teraz siedziała wysoko przy okienku bydlęcego wagonu, na posłaniu z pierzyn, koców i kołder przykrywających meble i skrzynie z ubraniami. Niżej widziała piecyk, do którego dziadek wrzucał drewienka, by się paliło i żeby babcia mogła coś ugotować. Chciało jej się pić i siusiu. Dlaczego tak długo jedziemy? Tuląc do siebie szmacianą lalkę, zasnęła. Obudziła się, gdy ręce mamy zmieniały jej mokre rajtuzy. Słońce rzucało jasne plamy na śpiących braci i siostrę.

- Jutro Wielkanoc - wiesz, Basiu? - mama powstrzymując łzy przytuliła ją mocno.

Jakiś czas później pociąg się zatrzymał.

- Będzie stał parę godzin - usłyszała głos ojca.

- Na szczęście Bieszczady za nami - mama płakała.

Tato wyszedł z wagonu, za nim wyskoczyli bracia. Ludzie stali wzdłuż wagonów, palili papierosy, rozmawiali. Dziewczynka jadła śniadanie - makaron z mlekiem. Mieli dużo makaronu, bo ciocia przyniosła im przed wyjazdem całą torbę - na samych żółtkach, powiedziała. Babcia gotowała zupę na piecyku. Mama zawołała starszą siostrę.

- Ugotujemy jajka i zrobimy święconkę. W trzecim wagonie jedzie ksiądz, to poświęci - powiedziała.

Dziewczynka chłonęła każde słowo - było inaczej. Rodzice weselsi. Siostra uczesała ją, umyła buzię i rączki.

- Jesteś już duża. Masz prawie pięć lat - powiedziała.

Nagle pociąg ruszył. Mama krzyknęła:

- Chłopców nie ma!

Tato biegł wzdłuż wagonów i wołał, że ich poszuka. Dziewczynka rozpłakała się. I wtedy pociąg zwolnił, za chwilę stanął. Ludzie nadbiegali i wskakiwali do wagonów. Znaleźli się też bracia i tato. Cała rodzina skupiła się wokół piecyka. Tato wziął miseczkę z przygotowaną święconką i pobiegł do wagonu, gdzie ksiądz święcił dary przyniesione przez ludzi.

Gdy pociąg ruszył, był już zmrok. Dziewczynkę obudziło mocno świecące kwietniowe słońce. Rodzice stali w drzwiach wagonu. Tato obejmował mamę.

- Chrystus zmartwychwstał - powiedział.

Po latach...

Ten czas i te wspomnienia to tylko okruchy pamięci. Długie, tzw. bydlęce wagony wiozły tysiące ludzi „na zachód". Całe rodziny opuszczały stopniowo swoje miejsca w transporcie, wysiadając w miastach, miasteczkach - byli w Polsce. Rodzina małej dziewczynki zamieszkała na przedmieściach niedużej miejscowości na północy, w dużym domu z ogrodem.

Dla niej był to zaczarowany ogród. Miała w nim swoje miejsce - pod niską jabłonką otoczoną krzewami dorodnych czerwonych porzeczek. Trzymała tam swoje skarby: szmacianą lalkę (ocalałą z transportu), misia znalezionego w pustym jeszcze pokoju i starą, zniszczoną książkę z obrazkami (nie wiedziała wtedy, że był to album malarstwa) i kocyk, który rozkładała, gdy udało jej się ukryć przed wzrokiem zapracowanej mamy. W tym zielonym królestwie bawiła się i oglądała obrazy w albumie. Najbardziej podobały jej się portrety pięknych kobiet i ogrody pełne kwiatów. Kiedy poszła do szkoły, szybko nauczyła się czytać. Ulubioną lekturę „O krasnoludkach i sierotce Marysi" znała prawie na pamięć.

Rodzina Basi powiększała się. Dlatego miała obowiązki - opiekę nad młodszą siostrzyczką, zmywanie naczyń, pielenie grządek. Na szczęście, zaczarowane, tajemne miejsce w ogrodzie zawsze na nią czekało.

Kochała swój dom. Kwiaty starannie pielęgnowane przez tatę, mamę przy maszynie do szycia lub w kuchni, gotującą obiad dla licznej już rodziny. Nie zdawała sobie sprawy, jak trudny był ten powojenny czas dla ludzi pozbawionych swoich korzeni. Może dlatego lubiła słuchać niekończących

Fot. J. Mazierjuk

się opowieści swoich rodziców o ich rodzinnych stronach. Patrzyła na łzy mamy, gdy wspominała babcię i wuja wywiezionych nocą na zesłanie, o miesiącach spędzonych w wagonie z Polakami wysiedlonymi ze wschodnich terenów, o przyjaciołach zaginionych w zawierusze wojennej. Przeżywała celebrowane uroczyście przez ojca rocznice i święta, dekorowanie gałęziami domu na Zielone Świątki, zawieszanie biało-czerwonej flagi na 3 Maja i śpiewane z rodzicami: „Witaj maj, trzeci maj...", „Ułani, ułani...", „Jak to na wojence..." i inne. To były piękne chwile - czuła się wtedy ważną częścią rodziny. Jej rodzeństwo - troje starszych i dwoje młodszych, babcia, dziadek, pies - przyjaciel, zapewniali jej bezpieczeństwo i poczucie więzi właśnie w takich momentach.

A w domu się nie przelewało. Pracował tylko tata, mama dokonywała cudów, żeby wykarmić tak liczną gromadkę. Poza tym, dzięki prawdziwemu talentowi krawieckiemu, „obszywała" wszystkich, i Basia miała zawsze ładne sukienki i płaszczyki. Pamięta taki granatowy, i bordowy kapelusik - była taka dumna, kiedy szła w niedzielę do kościoła. Dlatego starała się jak najczęściej pomagać. Biegała do miasta po mleko i chleb, zanosiła ojcu obiad w „trojakach", gdy do wieczora pracował na dworcowej poczcie. Zawsze też opiekowała się najmłodszymi - siostrą i bratem, żeby nie zrobili sobie krzywdy. Bywało, że mama na nią krzyczała, gdy uciekała do ulubionych książek, które wypożyczała ze szkolnej biblioteki i nie mogła się doczekać, kiedy otworzy pachnące farbą drukarską pierwsze strony. Czasem buntowała się, myślała, że dzieje jej się krzywda, że nie jest kochana - bo ciągle jest coś do zrobienia. Wystarczył jednak uśmiech mamy i jej „moja ty pomocnico", żeby znów było dobrze.

Basia lubiła soboty - to był dzień porządków w domu i kiedy pachniało już czystością i pastą do podłóg, szła z tatą do ogrodu po kwiaty, które potem układała w wazonach. Wszyscy ją chwalili i mówili, że robi to najładniej. Niedziele - to wspólne obiady z obowiązkowym rosołem, makaronem i ciastem z owocami. Popołudnia spędzała w swoim ogrodowym zaciszu, czytając lub rysując.

Któregoś dnia usłyszała o planowanym wyjeździe do Kołobrzegu. - Trzeba w końcu odwiedzić ten nasz Bałtyk - mówił tata. Nie mogła się doczekać - pierwszy raz w życiu miała zobaczyć morze. Kiedy z rodzicami tam dotarła, zachwycił ją bezmiar wody i jej zmieniający się koloryt, kiedy słońce chowało się za chmury. Basia długo siedziała na piasku i patrzyła jak zaczarowana.

To jej zostało do dziś i we wspomnieniach o tych pierwszych powojennych latach widzi nadal małą Basię w krótkiej kolorowej sukience i jej duże niebieskie oczy, wpatrzone w szarość kołobrzeskiego morza.

Bogumiła Skomoroko, Słupsk

Fot. Arch. NAC

Jan Stanisław Smalewski, Bąkowo

ZADUSZKI

W zaduszkową noc przyśnił mi się ojciec,
naprawiał drabinę. Rozmawiał z matką.
Matki głos słyszałem,
ale jej obecności nie zaznaczał żaden obraz.
Tylko słowa.

Ojciec był cały, we śnie, w obrazie,
przy drabinie, przy pracy.
Przybijał gwoździe, przycinał deski
i naprawiał drabinę.

Widziałem tę drabinę, była z życia,
z prawdy, cała w drewnie,
wyglądała jak ciągnący się pas D N A,
który łączył mnie z ojcem.
Poprzez prawdę, pracę, poprzez sen.

Ojciec naprawiał drabinę,
jakby chciał połączyć mnie
ze swoim snem, swoim życiem.
Życie mojego ojca to już sen. Tylko sen.

Tej zaduszkowej nocy
połączyła nas drabina snu,
zszedłem po niej do ojca,
by razem pracować.
By naprawić drewnianą drabinę,
która nas łączyła w sadzie,
gdy zrywaliśmy jabłka i inne owoce życia.

Z tej drabiny zrywaliśmy nasze życie.
W Zaduszkową noc
przybijałem oderwane,
ale wciąż łączące nas ogniwa
wspólnego D N A śmierci z życiem,
życia ze snem.

Poezja na fali

Dzięki staraniom Miejskiej Biblioteki Publicznej w Słupsku, Centrum Edukacji Regionalnej i Starostwa Powiatowego w Słupsku odbył się oczekiwany I Plener Poetycki „Poezja na fali" - Rowy 2019

Fot. J. Maziejuk

Plener odbył się w nadmorskich, opuszczonych już przez turystów o tej porze roku Rowach. Wzięli w im udział literaci amatorzy, dla których poezja to rodzaj żywiołowej mowy, transu, wewnętrznej myśli. Okazał się doskonałym miejscem wymiany myśli, poglądów na tematy literackie, tworzywa jakim jest słowo drukowane, możliwością poszerzenia wiedzy o literaturze i okazją do powstania nowych tekstów literackich w nietypowym miejscu.

Dla wielu uczestników było to też piękne zakończenie lata, w nadmorskim klimacie, wśród morskich fal Bałtyku i wrześniowego słońca smaganego nie zawsze ciepłym wiatrem. Frekwencja zaskoczyła organizatorów. Do miejsca zakwaterowania i dwudniowego pobytu, tj. Ośrodka Wypoczynkowego „Słowińska Perła" przyjechało ponad 30 poetów i osób im towarzyszących z różnych zakątków ziemi słupskiej, bytowskiej, zrzeszonych w nieformalnej Grupie „Wtorkowe Spotkania Literackie" działającej przy Starostwie Powiatowym w Słupsku oraz skupionych przy Miejskiej Bibliotece Publicznej w Słupsku.

Wszystkich przywitała w swojej małej ojczyźnie sołtys Rowów - p. Jadwiga Fudala, która w piękny sposób opowiadała o swojej trudnej roli sołtysowania w Rowach, do których latem przejeżdża kilkadziesiąt tysięcy ludzi, a po sezonie letnim pozostaje tylko około czterystu stałych mieszkańców. Mówiła także o pięknej historii Rowów, znanych kiedyś z rybołówstwa i malarskich plenerów.

Pani sołtys zaskoczona była tak dużą grupą przebywających jednego dnia w swojej miejscowości osób piszących poezję. Wszystkim życzyła twórczego pobytu. W sobotni wieczór (14 września) oceniała m.in. napisane na plenerze wiersze i nagradzała najlepsze. Dostrzegła debiutancki wiersz p. Sabiny Waszkiewicz z Bytowa. W zgłoszonych do konkursu wierszach zawarte musiały być słowa - klucze związane z miejscem pleneru.

Obecny na uroczystym otwarciu pleneru Zbigniew Babiarz-Zych, naczelnik Wydziału Polityki Społecznej w Starostwie Powiatowym w Słupsku, opiekujący się poetami-amatorami i przygotowujący wydawnictwa z ich wierszami, przypomniał początki zawiązywania się przy starostwie nieformalnej grupy poetyckiej „Wtorkowe Spotkania Literackie" i jej ponad 18-letnią działalność. Polega ona na stałym prezentowaniu wierszy twórców-amatorów, drukowaniu ich we Wsi Tworzącej - stałym dodatku literackim do Powiatu Słupskiego, wydawaniu im tomików i antologii poezji, organizowaniu Powiatowych Spotkań z Poezją (Nie)profesjonalną i na innych działaniach. Opowiedział też o powodach swojego osobistego zaangażowania się w działalność literacką i pisarką. Stwierdził m.in., że pracy z poetami - amatorami nie traktuje jako obowiązku, ale jako wielką przyjemność i mądrość płynącą z ich wierszy.

Obecny cały czas z grupą plenerowiczów Jerzy Fryckowski z Dębnicy Kaszubskiej, prezes słupskiego oddziału ZLP, uznawany za jednego z najlepszych obecnie żyjących poetów w Polsce, podjął się prowadzenia warsztatów poetyckich, z których mogli skorzystać zainteresowani. Natomiast okrasą artystyczną pleneru były występy Grzegorza Chwieduka ze Słupska i Zenona Lasonia, a także Henryki Jurałowicz-Kurzydło z kaszubską kapelą „Zgoda", która została ostatnio nagrodzona na III Przeglądzie Zespołów Folklorystycznych „Ziemia Słupska" - 2019.

Choć każdy musiał sam zapłacić za swój pobyt na plenerze, to jego uczestnicy jednogłośnie uznali, że za rok też chcą się spotkać w Rowach i rozmawiać o poezji. Obiecują zaprosić także poetów z innych regionów Polski. Warto dodać, że tegoroczny plener zaowocuje też zbiorowym wydaniem powstałych na nim wierszy, które będą promowane w Miejskiej Bibliotece Publicznej w Słupsku, bibliotekach gminnych i szkolnych Słupska oraz powiatu słupskiego.

Fot. J. Maziejuk

Barbara Jęchorek
Słupsk

PLENER

„Wieś Tworząca" - Dodatek Literacki do „Powiatu Słupskiego" Grupy „Wtorkowe Spotkania Literackie". **Redaguje:** Zbigniew Babiarz-Zych i zespół. **Zdjęcia:** Jan Maziejuk, Ryszard Nowakowski - SAS. **DTP:** Artur Wróblewski.
Adres redakcji: Starostwo Powiatowe, 76-200 Słupsk, ul. Szarych Szeregów 14, tel. 59 841 85 53, **www.powiat.slupsk.pl** • e-mail: zych@powiat.slupsk.pl • ***Redakcja nie podziela wszystkich opinii i poglądów autorów zamieszczanych tekstów.***